

Krakowska Prowincja Karmelitów Bosych
Archiwum

Biuletyn misyjny

Nr 7

Biuletyn informacyjny o dziele Misji zagranicznych Polskiej Prowincji
Zakonu Karmelitów Bosych

1973

W R O C Ł A W

MISJE KARMELITAŃSKIE

SPIS TREŚCI:

Na wstępie

Powołania misyjne św. Teresy od Dzieciątka Jezus

Wywiad w Radio Watykańskim

Listy misjonarzy

List O. Teofila do O. Przeora z Wrocławia – Bururi 13.04.73

List O. Teofila do br. Juliana – Bururi 13.04.73
List O. Teofila do br. Józefa – Bururi 13.04.73
List O. Teofila do P. O. Bogusława – Bururi 13.04.73
List O. Teofila do p. Zofii Proszak – Mpinga 13.06.73
List O. Teofila do O. Sekretarza – Mpinga 20.07.73
List O. Teofila do P. N. O. Prowincjała – Buta 31.07.73
List O. Teofila do Przyjaciół – Maganahe 25.08.73
List O. Eliasza do br. Józefa – Mpinga 10.03.73
List O. Eliasza do br. Bronisława – Mpinga 9.05.73
List O. Kantego – Bujumbura 12.06.73
List katechisty z Burundi Juvenal’a do br. Emiliana – Bujumbura 18.07.73
Karmel Dzieciątka Jezus na szlaku misyjnym
Apel Episkopatu Burundi

NA WSTĘPIE

Działalność misyjna jest prawem i obowiązkiem Kościoła. Kościół musi troszczyć się o misje, gdyż to decyduje o jego życiu i rozwoju, jest jego wewnętrzną potrzebą. Jest również mandatem, nałożonym przez Jezusa Chrystusa. Słusznie zatem powiedział jeden z największych Papieży ostatniej doby, Pius XI, że „**obowiązek misyjny nie jest dziełem nadobowiązkowym, lecz naczelnym wymogiem życia chrześcijańskiego**”!

Ojciec św. Paweł VI w orędziu na tegoroczny dzień misyjny pyta zatroskany, jaki będzie dalszy ciąg dzieła ewangelizacji świata, skoro brak rodzimych powołań, a względny wzrost rodzimych misjonarzy zbiega się z realnym zmniejszeniem się misjonarzy europejskich oraz z niepokojącym faktem starzenia się misjonarzy. Tak oto połowa personelu zagranicznego jest w zaawansowanym wieku i mało jest młodych, którzy by ich zastąpili.

Dlatego naszym obowiązkiem jest nie tylko modlitwa za misje, ale długofalowa praca nad przygotowaniem nowej, młodej ekipy misyjnej oraz pielęgnowanie ducha misyjnego, tak w Niższym jak i w Wyższym Seminarium Duchowym naszej prowincji.

Niech głęboko zapadną w nasze serca słowa Ojca Świętego Pawła VI, który powiedział, że „**nie można zmarnować żadnego powołania misyjnego, żadne nie może pozostać w niepewności, żadnemu powołaniu nie może zabraknąć możliwości dojrzewania z powodu braku środków! Budzące się powołanie misyjne ma otrzymać solidną formację, by nie były już one więcej gaszone lub zaduszone z przyczyn ekonomicznych czy środowiskowych!**”

Wrocław 3.10. 1973

O. Bogusław Woźnicki
Sekretarz Prowincjalny
Misji Karmelitów Bosych

POWOŁANIE MISYJNE ŚW. TERESY OD DZIECIĄTKA JEZUS

Pierwszym źródłem powołania misyjnego św. Teresy od Dzieciątka Jezus, jak zresztą i każdego innego powołania, był sam Bóg, który wezwał Ją, by wspólnie Nim pracowała nad zbawieniem dusz i była kiedyś Patronką wszystkich misji i misjonarzy na całym świecie.

Obok tego nadprzyrodzonego i transcendentnego czynnika, na genezę i rozwój powołania misyjnego św. Teresy od Dzieciątka Jezus miały także wpływ różne czynniki ludzkie. To poprzez nie docierało do Niej Boże wezwanie, na które odpowiadała zawsze z największą wiernością.

Gorliwość misyjna Teresy znajdowała swoją inspirację przede wszystkim w atmosferze domu rodzinnego. Wiemy, że rodzice Jej modlili się gorąco, by Bóg dał im kapłana – misjonarza, który zaniósłby światło wiary na krańce świata, a także, że hojnymi datkami wspierali Dzieło Rozkrzewienia Wiary.

Wstępując do Karmelu w Lisieux, Teresa zetknęła się tam z liczącą już prawie pół wieku tradycją misyjną, której szczytowym punktem było ufundowanie w dniu 15 października 1861 roku klasztoru karmelitańskiego w Sajgonie. Stał się on matką i źródłem wszystkich innych klasztorów karmelitańskich na Dalekim Wschodzie.

Tak więc zarówno wspólnota rodzinna, jak i wspólnota zakonna przyczyniły się do rozwoju misyjnego powołania Teresy.

Przyjęła ona i zachowała w głębi serca marzenie swoich rodziców i gorąco pragnęła mieć brata kapłana. Składając śluby zakonne (8 września 1890) prosiła Boga, by dał Jej duszę kapłana.

„Nie mogąc być kapłanem, chciała, by zamiast niej jakiś kapłan otrzymał upragnione przez nią taski, miał te same pragnienia, co ona”¹

I oto na dwa lata przed śmiercią posłuszeństwo dało jej dwóch „braci duchowych”: Ojca Roulland ze Stowarzyszenie Misji Zagranicznych, który został w szczególny sposób umocniony w swoim powołaniu misyjnym właśnie w dniu Jej Profesji zakonnej oraz księdza Belliere, w owym czasie klerożyta w Seminarium w Bayeux, który przygotowywał się, by wstąpić do Instytutu Ojców Białych. Teresa doznała wtedy radości niewypowiedzianej.

„Od lat nie przeżyłam podobnego szczęścia – wyznaje. Miałam uczucie jakby coś nowego zrodziło się w mojej duszy, jakby po raz pierwszy dotknięto strun pozostających dotąd z zapomnienia”²

¹ Św. Teresa od Dzieciątka Jezus, Pisma, t I, s. 707

² j. w. s. 313

„Jeżeli, jak sądzę, Ojciec mój i Matka są w Niebie – pisała potem do O. Roulland – to patrzą na brata danego mi przez Jezusa i błogostawią Go. Tak bardzo pragnęli mieć syna misjonarza! Opowiadano mi, że zanim się urodziłam, rodzice mieli nadzieję, że ich pragnienie zostanie nareszcie urzeczywistnione. Gdyby mogli przeniknąć zastonę przyszłości, to zobaczyliby, że ich pragnienie zostanie rzeczywiście spełnione przeze mnie...³”

Te prorocze słowa Teresy zrealizowały się w sensie o wiele pełniejszym, niż mogła wówczas przypuszczać. Tymczasem zaś umacniała swoje misyjne powołanie, korzystając ze wszystkich dostępnych sobie środków, które pobudziły Ją do gorliwości.

W tym celu mapę Su Tchuen – prowincji Chin, w której działał O. Roulland, przypięła do ściany zakrystii, gdzie pracowała; fotografię tego Ojca za pozwoleniem Matki Przeorowskiej, przechowywała w celi, a pamiątkowy obrazek jego święceń kapłańskich nosiła na sercu wraz z Ewangelią, z którą nigdy się nie rozstawała. Namalowała dla swoich „braci duchowych” palkę i obrazek Najśw. Serca, podtrzymywała ich na duchu swoimi listami, modliła się za nich i ofiarowała w ich intencji swoje przykrości i cierpienia, a jednocześnie w kontakcie z nimi rozwijała swoje powołanie misyjne.

Zapoznała się z żywotem O. Nempon, przesłanym przez O. Roulland i za radą tegoż O. Roulland przeczytała z wielkim zainteresowaniem i wewnętrznym zaangażowaniem żywot błogosławionego Teofana Venard. Było to początkiem Jej gorącego nabożeństwa do tego młodego męczennika, a właściwie „świętej przyjaźni” między nimi, która stała się jedną z największych łask i najśodszych pociech w ostatnich miesiącach Jej życia.

Teresa odpowiadała Bogu wzywającemu Ją do pracy misyjnej nie tylko modlitwą i ofiarą za misjonarzy, nie tylko listami, które do nich pisała. Jak wszędzie, tak i tutaj, chciała dać pełną miarę, zapłacić największą cenę, godząc się sama pojechać na Misje i ... co było Jej stokroć bardziej gorzkie, godząc się, by tam wysłano Jej siostry, o czym w klasztorze nie jeden raz się mówiło.

„Od chwili mego wstąpienia do błogostawionej arki – pisze w swojej autobiografii – spodziewałam się zawsze, że jeśli Jezus nie zabierze mnie szybko do Nieba, moim udziałem stanie się los gotąbki Noego; że pewnego dnia Pan otworzy okno arki i powie mi, bym leciał daleko, bardzo, bardzo daleko, na pogańskie brzegi, niosąc gałązkę oliwną”⁴.

³ j. w. s. 753

⁴ j. w. s. 276

Nie było to tylko bezpłodne marzenie młodej zakonnicy, ponieważ zostało potwierdzone autorytetem przełożonej.

„Do życia w Karmelach misyjnych – zwraca się Teresa do swojej przeoryszy – trzeba mieć – jak mi, Matko, mówiłaś – zupełnie specjalne powołanie, wiele dusz łudzi się, że je posiada. Powiedziłaś mi również, że ja je otrzymałam i jedynie moje zdrowie stoi na przeszkodzie”.⁵

Pomimo tej przeszkody, planowano całkiem na serio wysłać Teresę do misyjnego Karmelu w Hanoi, a perspektywa ta, była przez długi czas silnym bodźcem dla Jej żarliwości misyjnej.,,... *Jeżeli Jezus nie zabierze mnie wkrótce do Karmelu w Niebie – pisze do O. Roulland – pojedę pewnego dnia do naszego klasztoru w Hanoi, bo obecnie powstał tam nowy dom, ufundowany przez Karmel w Sajgonie”*.⁶

Zdrowie Teresy nie pozwoliło Jej na wyjazd. Jednak się tym nie martwiła. Ufała bezgranicznie, że Bóg, Który zawsze spełniał Jej pragnienia i teraz Jej nie zawiedzie; wiedziała, że miłość mocniejsza jest niż śmierć, że dla miłości nie istnieją przeszkody. Dlatego pisała do swoich „duchowych braci”:

„Jeżeli pójdę wkrótce do Nieba, to poproszę Jezusa, by pozwolił odwiedzić Brata w Su Tchuen, a tak będziemy wspólnie spełniać nasz apostołat”.⁷

„Na tamtym świecie ... nie będzie klauzury ani kraty, dusza moja będzie mogła ulecieć wraz z Księdzem do dalekich krajów misyjnych”.⁸

Teresa swojej gorliwości misyjnej nie zacieśniała do swych braci misjonarzy. Jak wszędzie, tak i tutaj, niezmiernie pragnienie zbawienia dusz rozszerzało Jej horyzonty do rozmiarów całego świata. Komentując zdanie: ‘gorliwość karmelitanki powinna obejmować cały świat’ – pisze:

„... ufałam, że dzięki łasce Bożej będę pożyteczna więcej niż dwom misjonarzom, a równocześnie nie zapomnę modlić się za wszystkich”.⁹

⁵ j. w. s. 272

⁶ j. w. s. 736

⁷ j. w. s. 691- 692

⁸ j. w. s. 731

⁹ j. w. s. 315

Bóg, Który nie da się przewyższyć w szczodrości, spełnił rzeczywiście wszystkie Jej pragnienia. Spełnił je w nadmiarze i sprawił, że po śmierci nie tylko mogła odwiedzić swoich „duchowych braci”, lecz zstępowała i dotąd zstępuje na wszystkie kontynenty, wszędzie spuszczać „deszcz róż”, a Kościół święty urzeczony Jej żarliwością misyjną i wdzięczny za troskę, jaką za swego ziemskiego życia otaczała jego misjonarzy, oddał Jej w opiekę wszystkie swoje misje na całym świecie aż do skończenia czasów.

WYWIAD W RADIO WATYKAŃSKIM

/ 30.10.1973 - godz. 20.30/

O. Stefan Filipowicz TJ: Przed mikrofonem naszego radia gościmy dzisiaj O. Leonarda od Męki Pańskiej Kowalówkę, Karmelitę Bosego, który przed kilku dniami wrócił z Burundi. O Burundi mówiliśmy już w naszych audycjach. Cieszymy się bardzo, że dzisiaj możemy porozmawiać na temat tamtejszych misji i problemów z autentycznym misjonarzem, który przebywał w tym kraju przez piętnaście miesięcy.

Zacznijmy od tego, jaki był cel wyjazdu Ojca do Burundi?

O. Leonard Kowalówka: Celem mojego powtórnego wyjazdu do Afryki, do Burundi, w charakterze Wikariusza Prowincjalnego, było otwarcie polskiej, samodzielnej misji karmelitańskiej.

Powiedziałem: powtórnego wyjazdu. Pierwszy mój wyjazd bowiem, w roku 1970, do Zairu, Ugandy i Burundi, miał na celu wyszukanie odpowiedniej misji, nawiązanie kontaktów, poznanie potrzeb i wymagań misji.

Wybór, decyzją Rady Prowincjalnej, padł na Burundi, niewielki kraj, bo liczący zaledwie 27 tysięcy km²; 3,5 miliona ludności (122 osoby na km²), w województwie Ngosi ta gęstość zaludnienia jest wprost katastrofalna; kraj piękny, górzysty, o przyjemnym klimacie ale bardzo ubogi, nie posiada żadnych bogactw naturalnych, przemysł prawie tu nie istnieje, a rolnictwo, z którego utrzymuje się ludność, jest prymitywne.

Wybrano diecezję Bururi, posiadającą największy odsetek pogan, animistów. Ogółem w kraju jest ich około miliona.

Polscy Karmelici Bosi, podejmując tę misję, tym razem samodzielną, pragnęli nawiązać do misyjnej tradycji Reformy terezańskiej w Polsce. Polska Prowincja Karmelitów Bosych od początku swego istnienia na naszych ziemiach, aż do rozbiorów słała misjonarzy do Persji i Indii, by zasilić Misje Zakonu.

Zaczątek tej polskiej misji karmelitańskiej stanowiła grupa złożona z 9 kapłanów i 2 braci zakonnych. Opuściliśmy Polskę z końcem czerwca 1971 roku, umocnieni błogosławieństwem Księża Biskupów i wioząc ze sobą obraz Maryi, wierną kopię obrazu Jasnogórskiego, osobisty dar J. Em. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Polski, dla misji Karmelitów w Burundi. Fakt, że misja nasza jest misją Episkopatu Polski napędza nas wielką radością i otuchą. „**Tak się składa – mówił nam Ks. Prymas, w dniu wręczenia obrazu, że w tym domu obraduje Komisja Maryjna Episkopatu. Wszyscy członkowie komisji są tutaj obecni i modlą się razem z Wami. Wzmocnieni więc wspólna**

modlitwą wyprawiamy Was, zgodnie z wolą waszej władzy zakonnej, w Imię „Madonna Nera” – Czarnej Madonny z Częstochowy, do Ludów czarnych Afryki”.

Krótki pobyt w Rzymie i audiencja u Ojca św., Jego błogosławieństwo umocniły w nas pragnienie, aby służyć Ludowi Bożemu w Burundi razem z Dziewicą Wspomożycielką i Służebnicą Pańską, w wielkim przywiązaniu i miłości do Stolicy Apostolskiej, podobnie jak Kościół w Polsce.

Kiedy stanęliśmy na ziemi afrykańskiej, w Burundi, ks. bp Józef Martin, ordynariusz Bururi, który odwiedził Polskę przed naszym wyjazdem i chowa jak najmiłsze wspomnienia z tego pobytu, wyznał mi, że dwa razy doznał wstrząsu w swoim życiu: pierwszy raz kiedy został zamianowany biskupem, a drugi raz, kiedy prowincjał Karmelitów Bosych doniósł mu, że zakon przyjmuje misje i wysła 11 zakonników. „Nigdy w historii Ojców Białych – mówił – zgromadzenie nie wysłało tak wielkiej liczby misjonarzy jednocześnie. Na to mógł sobie pozwolić jedynie Kościół w Polsce”. Dowodem jego radości był telegram wysłany do Ks. Prymasa: „Vierge de Częstochowa entree Burundi, entouree Carmes – Najświętsza Panna Jasnogórska przybyła do Burundi w otoczeniu karmelitów”.

Przyjazd nasz do Bururi zbiegł się z uroczystościami dziesięciolecia utworzenia tej diecezji. Ks. Biskup przy tej okazji pragnął nas przedstawić Ludowi Bożemu i misjonarzom. Przyjęto nas z ogólną radością. Wyraził to sam minister spraw zewnętrznych w swoim przemówieniu: „Witam serdecznie nowych kapłanów, przybyłych zza morza, z Polski; przyjmuję ich z otwartymi rękoma, jak zresztą całe Burundi.”

O. Stefan Filipowicz TJ : To może Ojciec powiedziała by kilka słów na temat Waszej Karmelitańskiej misji w Burundi.

O. Leonard Kowalówka: Najważniejszym zadaniem naszej misji była nauka języka kirundi. Jest to jedyny język tubylczy w kraju, co ogromnie ułatwia pracę misjonarzom.

Odbyliśmy pięciomiesięczny kurs tego języka w Ośrodku Nauki Języka w Muyanga, prowadzonym przez Ojców Białych. Jest to język naprawdę piękny, śmiało go można postawić obok najpiękniejszych języków świata, bogaty, ale niezmiernie trudny. Dla orientacji podam mały przykład: słowo bakunda oznacza „oni kochają”. To jedno słowo może mieć aż 9 różnych znaczeń zależnie od akcentu. Czasem zmiana jednej litery w słowie zmienia jego sens, wprawia w zakłopotanie słuchaczy, a wstydem okrywa kaznodzieję.

Z końcem stycznia bieżącego roku rozpoczęliśmy roczny staż pracy misyjnej, pojedynczo, w różnych misjach pod kierownictwem Ojców Białych. Chodziło głównie o nabranie wprawy w posługiwaniu się językiem, poznanie mentalności i obyczajów tego ludu oraz sposobów pracy misyjnej. Powoli wszyscy zaczęli się włączać w zwyczajne prace duszpasterskie i podejmować samodzielne czterodniowe wyprawy misyjne do ludu żyjącego na sawannie.

Obecnie staż dobiega końca. Około Wielkanocy bieżącego roku zostanie definitywnie i całkowicie powierzona karmelitom misja Mpinga, licząca 57 tysięcy mieszkańców (20 tysięcy katolików łącznie z katechumenami i 37 tysięcy pogan, animistów), posiadająca 10 stacji misyjnych pomocniczych, rozrzuconych w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Mpinga ma być nie tylko domem misyjnym ale także domem zakonnym, gdzie wychowywać się będą przyszli karmelici Burundi. Nawiasem mogę dodać, że już 4 młodzieńców, kandydatów na Braci-koadiutorów, czeka niecierpliwie otwarcia tego domu. Objęcie drugiej

misji-parafii, w diecezji Gitega, (45 tysięcy dusz i 8 stacji misyjnych pomocniczych), nastąpi nieco później.

O. Stefan Filipowicz TJ: Na czym polegała praca Ojca w Burundi?

O. Leonard Kowalówka: Odpowiadając na to pytanie dotyczące mojej pracy pragnę zaznaczyć, że to samo, a może i więcej mógłbym opowiedzieć o pracy tak Braci jak i innych Ojców.

Pomijam moje zajęcia i podróże, które musiałem wykonać i odbywać jako przełożony misji. Powiem jedynie, że dwukrotnie o mało nie przypląciłem tego życiem. Okropny stan dróg, poślizg, czy może zbytnia pewność kierowcy, były powodem 2 poważnych wypadków samochodowych. Raz spadliśmy z wysokości 30 m w dół, a wóz staczając się obrócił się aż 5 razy. Drugi raz, spadaliśmy w bagno, (bagna na tych terenach często są „bez dna”), dwa metry od rzeki. W obu przypadkach wyszliśmy bez szwanku. Ludzie, którzy zbiegli się wówczas, mówili ze zdumieniem: „**Patiri, Imana yabafaschuje neza – Ojcie, Bóg dobrze opiekował się wami**”.

Staż, na życzenie ks. Biskupa, odbywałem w miejscowości powiatowej Rutana. Do tego powiatu należy nasza misja Mpinga. Chodziło o to, by od razu nawiązać kontakty z miejscowymi władzami, z miejscową inteligencją i jeśli tak można powiedzieć, „dać poznać szeroko karmelitów”. Tutaj mieszka komisarz powiatu, jest tu poczta, policja, szkoła sześcioklasowa, a na terenie powiatu jeszcze cztery inne, szpital wybudowany przez Wspólny Rynek, więzienie, w którym wymordowano od maja do lipca ub. roku przeszło półtora tysiąca niewinnych ofiar. Dwa razy w tygodniu odbywają się tutaj targi, gromadzące parę tysięcy ludzi ze wszystkich stron.

Moje zajęcia duszpasterskie w tej dużej misji mógłbym przedstawić w największym skrócie następująco: Odprawianie Mszy św. w języku kirundi. W niedzielę i święta głoszenie kazań, przygotowanych z pomocą bądź to siostry zakonnej, bądź to katechisty, bądź też któregoś z pracowników misji. Udzielanie chrztu św. (ochrzciłem około 300 osób). Udzielanie sakramentu bierzmowania (około 100 osób). Słuchanie spowiedzi (około 3000 osób). Odwiedziny i posługi duchowe w szpitalu i w więzieniu. Próby lekcji katechizmu oraz prowadzenie młodzieżowej organizacji, przeszczepionej tu przez misjonarzy belgijskich, tzw. Kiro. Najwięcej jednak czasu musiałem poświęcić nauce języka kirundi, którego z kolei nauczyłem włoskie siostry Marystki, pracujące w Rutana.

Najbardziej czułem się misjonarzem, kiedy przyszło mi pracować samemu wśród ludu na sawannie, zwykle w ciągu 5 dni. Było tam wprawdzie czasem mniej niż skromne pożywienie, twarde łóżko, niewygodne mieszkanie, nieraz trzeba było przesuwać łóżko z kąta w kąt, by uchronić się przed deszczem, lub też rozłożyć nad łóżkiem parasol. Wszystko to jednak wynagradzała wiara i miłość tego prostego i biednego ludu, który tak licznie przez te wszystkie dni uczęszczał na nabożeństwa, czy przystępował do św. sakramentów. Niektórzy przychodzili po to, by popatrzeć na misjonarza, ucisnąć mu rękę, zamienić z nim bodaj słowo. Graniczyło to nieraz z natręctwem, które wprawiało w kłopot misjonarza, ale dawało także świadomość, że jest tu potrzebny, że tutaj czekają, cieszą się jego obecnością i są mu za nią wdzięczni.

O. Stefan Filipowicz TJ : Interesuje nas obecnie, jak wygląda sytuacja Kościoła i jakie są nadzieje na jego rozwój w tym kraju po zeszłorocznych zamieszkach?

O. Leonard Kowalówka: Kościół w Burundi miał obchodzić w obecnym roku Rok Wiary z okazji 75 rocznicy przybycia Ojców Białych. Po krwawych zeszłorocznych zajściach, Episkopat zamiast niego ogłosił Rok Pokuty.

Przyczyną wypadków był zamach na rząd prezydenta Micombero, z plemienia Tutsi, liczących około 500 tysięcy, dokonany przez Hutu, których jest około 3 miliony. Krwawa rewolucja trwała w stolicy i w okolicy praktycznie jeden wieczór. Wewnątrz kraju przeciągnęła się do tygodnia. Potem rozpoczęła się krwawa represja, która pochłonęła około 200 tysięcy ofiar niewinnych. Ginęli przede wszystkim mężczyźni i młodzież, ale także kobiety, a nawet dzieci, dlatego tylko, że należeli do Hutu, że mogliby się stać przywódcami swojego plemienia, bo posiadali wykształcenie, bo znali trochę język francuski, bo mieli wpływ na innych jako katechiści, choć umieli zaledwie czytać i pisać, bo ubierali się schludniej i lepiej. Niektórzy z nich umierali jak prawdziwi męczennicy. Represja objęła także wdowy, które pozbawiono wszelkiego mienia, a misjonarzom zabroniono je wspierać. Zabijano je w okrutny sposób: młotkiem, kijem, bagnetem, kulą. Grzebano przy pomocy buldożerów.

Kościół utracił 16 kapłanów z plemienia Hutu, wśród nich jednego pisarza, 2000 katechistów, setki nauczycieli... Kraj, jak ktoś powiedział, cofnął się w rozwoju o jakieś 30 lat. Świecą pustkami szkoły, szpitale, przychodnie lekarskie z braku personelu. Ludność żyje w niepewności, wzajemnej nieufności, strachu. Hutu lękają się powtórnej rzezi, Tutsi obawiają się napadu Hutu z Tanzanii, Rwandy czy Zairu.

Żaden z misjonarzy nie zginął. Niemniej jednak niektórzy musieli kraj opuścić za swą dzielną chrześcijańską i kapłańską postawę, inni znowu są terroryzowani, niepokojeni, wzywani na przesłuchanie przez policję, doradza się im opuszczenie kraju.

W czerwcu ubiegłego roku przypadkowo spotkałem w Bururi ks. prałata Kadara, specjalnego wysłannika Stolicy Apostolskiej, rozmawiałem z nim tylko chwilę. Trudno mi powiedzieć coś konkretnego na temat wyników misji papieskiej. Mogę jednak powiedzieć, że wywołała ona radość wśród nas misjonarzy i wzbudziła nadzieję zmiany na lepsze.

Jak można wnioskować, sytuacja Kościoła w Burundi jest bardzo trudna, skoro głoszenie całej Ewangelii, nie okrojonej, skoro działalność charytatywna na rzecz Hutu, a nie tylko Tutsi, są uważane za podburzanie jednych przeciw drugim.

Trudna jest sytuacja Kościoła, bo trudno jest zrozumieć tubylczemu duchowieństwu zbrodnię i krzywdę, jaką wyrządzono niewinnym Hutu.

Trudna jest sytuacja Kościoła, bo chcąc rozwiązać problem braterskiego pożycia plemion, musi dążyć do tego, by biskupi, kler tubylczy, misjonarze i laicy, sięgali po tę największą miłość, która życie daje za braci.

O. Stefan Filipowicz TJ: Jakie są nadzieje na rozwój Kościoła w takiej sytuacji?

O. Leonard Kowalówka: Odpowiem na to przysłowiem tego ludu, który tak lubi posługiwać się przysłowiami i ma ich około 5 tysięcy: „**Agati gateretswe n’Imana, ntigahenurwa n’umuyaga – Nawet wicher nie potrafi wyrwać małego drzewka, które chroni Bóg**”.

Kościół w Burundi jest małym drzewkiem, ma teraz swoich męczenników. A zawsze jest prawdą, że „**Sanguis Martyrum, semen christianorum**”.

LISTY MISJONARZY

Listy O. Teofila:

Bururi 13.04.1973 r.

+ Przewielebny i Dobry Ojczy!

Bardzo przepraszam, że na dwie karteczki i dobry list nie odpowiedziałem zaraz. Niestety, Wielki Post! Czasem trzeba było i siedem kazań w tygodniu powiedzieć, a nie mogę się powtarzać, bo przeważnie głoszę w naszej katedrze, więc przygotowanie pożerało czas. Do tego dochodzi wiele spowiedzi.

Dzisiaj tak „w biegu” między spowiedziami kreślę te kilka słów. Najpierw pragnę bardzo, bardzo serdecznie podziękować za tyle troski, wysiłku i poświęcenia dla naszej misji! Bóg niech stokrotnie Drogemu Ojcu zapłaci za wszystko! Także za to, że przyrzeka nie zapomnieć o nas w swoim nowym obowiązku. Niespodziewaną śmierć śp. O. J. Berchmansa przeżyliśmy mocno, ale nawet na myśl nam nie przyszło, że przez tę śmierć utraciliśmy tak dobrego i dzielnego orędownika naszej misji. Jeszcze w ostatnich listach tyle otrzymałem pochwał dla gorliwej pracy Drogiego Ojca, że wiadomość, iż wobec nowego obowiązku musi odłożyć na bok pracę Sekretarza dotknęła mnie mocno. Cóż robić? Dobry Bóg wszystkim kieruje.

Ze swej strony na pewno nie zapomnimy w gorących modlitwach o Tym, który tak dobrze organizował pomoc dla nas właśnie wtedy, gdy „drogi” nie były jeszcze przetarte. Jeszcze raz stokrotnie Bóg zapłać!

Teraz w odpowiedzi donoszę, że niestety Biuletyn jeszcze nie dotarł. Widocznie jednak cenzura działa.

Do P. O. Michała zaraz po otrzymaniu listu Drogiego Ojca napisałem, ale On mi pisze, że wzmiankowaną „pożyczkę” załatwił na swój sposób. Nie wiem, czy Drogiego Ojca będzie z tego zadowolony, no ale tak zrobił.

Z tego boababu podobno nie tak łatwo materiały przesłać, bo nie ma kto zabrać. Jeden skarb podobno udał się ostatnio przesłać.

Że misjonarze nie piszą wiele, zwłaszcza ostatnio – to prawda. Sam też już dawno nic nie napisałem do kraju. Nawet niestety do Sióstr, które na szczęście do nas się wybierają. Każdy ma szalenie dużo pracy. Sam mam na dodatek „urzędowanie”, które wymaga wielu załatwień. Ostatnio musiałem też tak w biegu, między rekolekcjami tu i tam wyskoczyć. Były pewne „trudności” – jeszcze nie wiem, jak się ostatecznie rozwiązały. Czekam na wieści. Mam nadzieję, że jednak Wielkanoc będziemy świętować w odnowionej radości. Przecież wielkie piątki prowadzą do poranka wielkanocnego...

Dopiero po Wielkanocy będzie można myśleć o zdobyciu dla Sióstr odpowiednich dokumentów. Wiem, że w Polsce mogą się spieszyć, ale u nas wszystko załatwia się buhurobuhoro – czyli powoli.

Przenosiny do Mpingi i ewentualnie Bukirasazi też odbędą się dopiero po 6 maja, bo zaraz po Wielkanocy zjazdy księży, na których wypada być. Mnie też pewnie wypadnie skoczyć do stolicy, bo uzbierało się już trochę spraw.

Z innych wieści – to N. O. Generał, mimo usilnych starań, nie dostał pozwolenia na odwiedzenie nas. Pokutuje jeszcze sytuacja, jaka zaistniała po zeszłorocznych wypadkach. Dużo pisali w zachodniej prasie prawdy o naszych rządach, więc boją się ich wpuszczać, żeby znów czegoś nowego nie napisali.

Ciekaw jestem, czy N. O. Prowincjał uzyska pozwolenie. Gdyby Mu odmówiono dobrze byłoby, żebym wcześniej wiedział, bo chyba przez tutejszych „wpływowych” znajomych mógłbym takie pozwolenie „wymusić”. Byle tylko zdrowie N. O. Prowincjałowi dopisało, bo jak słyszę do jakiejś operacji się gotuje.

To na razie, bo znów ludzie na spowiedź czekają.

Całym sercem życzę wielu łask spływających z Tajemnicy Krzyża i Tajemnicy Zmartwychwstania, tak dla Drogiego Ojca jak i dla Wszystkich Ojców i Braci Konwentu we Wrocławiu!

Na wzajemną pamięć w modlitwie bardzo liczę, sercem oddany i szczerze wdzięczny

br. Teofil k. b.

Bururi, 13. 04. 1973 r.

+ Drogie Bracie Julianie!

Serdecznie pozdrawiam w Panu! i wiele łask od Jezusa Zmartwychwstałego życzę.

To nie tylko taka pogłoska, że u nas bardzo Braci potrzeba, ale rzeczywistość! Dlatego też ochotne zgłoszenie się Brata jest dla nas cenne!

Oczywiście sprawę należy załatwić w ten sposób, że najpierw trzeba uzyskać pozwolenie N. O. Prowincjała, bo tylko On, według naszych przepisów, może wysłać na misje lub z nich odwołać. Wikariusz Prowincjalny nie ma w tym względzie żadnego prawa.

Będę w tych dniach pisał do N. O. Prowincjała, to prośbę Drogiego Brata przedstawię.

Po uzyskaniu pozwolenie N. O. Prowincjała trzeba zabrać się do solidnej nauki francuskiego, bo bez tego ani rusz, a tu będzie przecież trzeba uczyć się jeszcze dosyć trudnego języka kirundi.

Co do pracy, to myślę, iż proponowane przez Drogiego Brata masaże nie są bardzo aktualne, bo mimo, że nasz kraj jest „dziki” to przecież w żadnym szpitalu czy przychodni nie zatrudnią człowieka bez dyplomu. Chyba, że dopiero sami będziemy prowadzić szpital, ale najpierw trzeba go zbudować. Ale innej pracy czeka wiele!

Co do wspomnianych w liście lekarzy, to sądzę, że na razie nie będą mogli przyjechać, bo nasz rząd ma dosyć kłopotów i nie może sobie pozwolić na sprowadzanie lekarzy, choć bardzo są potrzebni.

To na razie tyle, bo pracy mam wiele. Całym sercem życzę, by dobry Bóg przyjął dobrą wolę Drogiego Brata i nagroził stokrotnie!

Serdeczności dla Wszystkich Braci Konwentu Krakowskiego.

Sercem oddany
b. Teofil k. b.

Bururi 13.04.1973

+ Drogi Bracie Józefie!

List Brata otrzymałem 14.02 i w tym samym dniu napisałem do Przew. O. Rafała. Mam nadzieję, że już od Niego odpowiedź macie.

Na list Brata dopiero dzisiaj kreślę kilka słów w odpowiedzi, bo u nas szalenie dużo pracy w okresie Wielkiego Postu i dochodzi jeszcze moje „urzędowanie”.

Cieszę się bardzo, że chcecie się solidnie przygotować do pracy dla naszego biednego ludu. Oczywiście, że dobra znajomość francuskiego o wiele Wam ułatwi adaptację tutaj. My musieliśmy się uczyć na raz dwu języków, a to nie takie proste.

Nie wiem, jak się układają sprawy Waszego wyjazdu, ale taka moja serdeczna rada, żeby w Paryżu nie być razem. No, powiedzmy niedziele można spędzić wspólnie na oglądnięciu czegoś godnego, ale w inne dni dobrze by było mieszkać osobno. To zmusi do obcowania z Francuzami i może dać duże rezultaty w opanowaniu języka. Inaczej mimo najlepszej woli rodzi się pokusa, by rozmawiać w mowie ojczystej i wtedy wyniki nikłe.

Całym sercem życzę także pełnego duchowego przygotowania. Powołanie misyjne to jest jednak powołanie „w nieznanie” czyli ZNANE tylko Bogu i trzeba Jemu zaufać. Niech prowadzi! Moc Zmartwychwstałego Pana niech Was wspiera!

Łączę bardzo serdeczne życzenia pełnej wielkanocnej radości dla Wszystkich Drogich Braci Kleryków i Czcigodnego O. Magistra!

Na wzajemna pamięć w modlitwie bardzo liczę!

Sercem oddany
Br. Teofil k. b.

do P. Zofii Proszak:

Mpinga 13.VI.1973

Droga Siostró w Panu!

Już trzy Twoje listy z pięknymi znaczkami i jeszcze miłszymi słowami czekają na choćby krótką odpowiedź, a ja wciąż nie mogę znaleźć chwili, by podziękować. Dziś tak jednym słowem, ale bardzo serdecznie dziękuję za wszystko, także i za tę pomoc, która, jak wiem, dociera z Anglii na adres O. Jana Kantego. „Bóg stokrotnie zapłać”! Dziękuję także bardzo za wieści z Krakowa.

Co do nas, to już osiedliliśmy się w Mpinga. Na jak długo? Sam Pan Bóg raczy wiedzieć, bo u nas „gorąca” Afryka. „Gorąca” w cudzysłowie, bo tak naprawdę, to na naszej górze wcale nie jest gorąco, mimo, że już słońce dzień za dniem świeci; jako, że pora

deszczowa... minęła już jakiś miesiąc temu. Wygląda na to, że braknie nam wody w zbiorniku. Dobrze, że do źródła nie tak daleko. Gdyby tak jak w innych krajach Afryki nie padało przeszło 10 miesięcy, to i nasze źródło się skończy. Ale u nas chyba takiej suszy nie będzie.

Nasza praca obecnie trochę taka „pomieszana” ze względu na wciąż trwające napięcie między dwoma plemionami. W ostatnich jednak dniach odwiedzamy nasze stacje misyjne nawet w pobliżu granicy, gdzie jest „najgoręcej”.

Trochę też próbujemy przemówić do rozsądku naszym władzom, ale nie za bardzo to wychodzi, bo rozsądku to nie mają za wiele. Znów na 18 czerwca jestem umówiony na spotkanie, więc zobaczę, jak się dogadamy.

Tak szczerze mówiąc, to brakuje nam tu kogoś takiego, jak nasz polski Prymas.

Bardzo proszę o modlitwę, żebyśmy nadal potrafili zachować nasz dobry humor i ożywić na nowo miłość i nadzieję u tutejszych ludzi.

Proszę mi wybaczyć, że tylko te kilka słów przesyłam. Wciąż czeka wiele pracy... za to więcej będę pamiętał w modlitwie, na którą, mimo wszystko, udaje się znaleźć czas.

Serdeczności przesyłam bardzo wiele. Na wzajemną pamięć bardzo liczę.

Z uśmiechem i błogosławieństwem
O. Teofil Kapusta

Mpinga 20.07.1973

+ Przewielebny i Drogi Ojcze!

Dawno już wybierałem się z listem, ale taki był nawał pracy, że nie mogłem sobie pozwolić na luksus korespondencji. Nawet wiadomość przesłana przez N. O. Prowincjała, że Drogi Ojciec będzie nadal naszym Opiekunem, choć ucieszyła nas bardzo, nie pozwoliła zasiąść do maszyny.

Ostatnio pracowaliśmy na trzy zmiany. Mieliśmy ponad 300 Uroczystych Komunii św., ponad 80 chrztów dorosłych, egzaminy katechumenów na wszystkich stacjach misyjnych. Łączyło się z tym wiele pracy biurowej, bo należało wszystko wprowadzić do ksiąg parafialnych, należało wystawić zaświadczenie egzaminów. Trzeba się było spieszyć, bo od 1 sierpnia na nowo zaczyna się nauka w katechumenacie. Na dodatek nie mamy obecnie sekretarza parafialnego. Dzień więc wygląda następująco: rano o godz. 6.00 modlitwa i brewiarz. O godz. 7.00 Msza św. Następnie o godz. 7.45 śniadanie. O godz. 8.00 Br. Sylwester i O. Klaudiusz wychodzili rozdzielać pracę robotnikom, O. Sylwan, O. Eliaz i ja – do biura. Po zakończeniu pracy w biurze i wyspowiadaniu ludzi – około 10.00 – wychodziliśmy do robotników, by razem z nimi pracować, jako że wtedy praca sprawniej idzie. W południe przerwa obiadowa, więc mówiliśmy trochę brewiarza i jedliśmy obiad. Potem praca z robotnikami aż do 16.30. Oni kończą pracę, a my po podwieczorku zaczęliśmy drugą zmianę, tzn. pracę, które wykonywała ekipa polska posługując się językiem ojczystym. To takie prace bardziej precyzyjne, np. ostatnio zawieszanie dzwonu na

dwu wysokich drzewach. Nie mogliśmy brać do tego robotników, ponieważ wymagało to wychodzenia na znaczne wysokości i budowania specjalnej konstrukcji. Trzeba też było działać szybko, żeby wiszący wysoko nie męczył się długo. Stąd potrzeba porozumiewać się w języku ojczystym. Kiedy robiło się ciemno, o godz. 18.00, zaczynaliśmy nasze wieczorne modlitwy. Potem kolacja i znów trzecia zmiana. Praca w sali. Przez dłuższy czas była to praca biurowa.

Ostatnio montowaliśmy półki na książki. Wiele przy tym piłowania i skręcania, bo robimy je domowym sposobem z metalu. Już prawie na wykończeniu. Jeszcze trzeba wykonać specjalny fotel do sali.

Br. Sylwester ma wiele szcycia. Sądzę, że jeszcze na długo nam pracy starczy. Przy pracy biurowej słuchało się płyt. Teraz gorzej, bo piłowanie żelaza przeszkadza. Można jednak pogwarzyć, bo przecież trzecia zmiana to nasza rekreacja.

Wspomniałem, że pracujemy z robotnikami. Cóż oni robią? Zaczęliśmy wyrabiać bloki cementowe, trzeba było do tego założyć kopalnię piasku w naszej górze. Nie jest to takie łatwe, ale mamy szczęście, że znalazła się żyła piaskowego kamienia, więc po prostu kruszy się kamień za piasek.

Zaczęliśmy także budowę zbiornika na wodę. Wyjdzie na to ok. 10 tys. cegieł, żelazo i cement. Właśnie w najbliższy poniedziałek mamy jechać z o. Klaudiuszem – naszym prokuratorem (ekonomem – „zaopatrzeniowcem”) – po zakupy. Do tego jeszcze rynny... Zamówienie już zrobione. Dół pod zbiornik wykopany – no, prawie wykopany.

Inne prace. – Wiadomo, nowy gospodarz domu, więc przebudowa. Zamurujemy drzwi, przegradzamy salki, by zyskać 5 pokoi dla gości i dla rekolektantów. Potem będzie trzeba myśleć o domu rekolekcyjnym, bo już mamy zgłoszenia.

Przez jeden tydzień była także „akcja nawóz”. Zaczęło się od tego, że br. Sylwester poprosił, by przywieziono mu do ogrodu trochę nawozu. Obiecał za to *impuzu* czyli odzież. Gdy po tygodniu rozdał przesłane z Polski koszule, nastąpiło obłężenie naszej misji przez chętnych do noszenia nawozu. Pewnego dnia przyszło ponad 300 dzieci z koszami nawozu. Porobiliśmy bilety i tak nosili przez kilka dni. Br. Sylwester i o. Klaudiusz znaczyli tylko punkty. Wydawało się, że nas zasypią...W końcu rozdaliśmy *impuzu* i na razie „wojna o nawóz” wygrana. Okazało się, że to najlepszy sposób wyszukiwania biednych. Trochę się ich wspomogło, a nasz ogród, gdy nadejdzie pora deszczowa, będzie rodził wspañiale.

To były takie nasze obecne problemy. Była też wojna z naszymi władzami, bo staraliśmy się bronić ludzi przed niewinną śmiercią. Jak mi wiadomo, o losach O. Sylwana już pisał do kraju O. Jan Kanty. W Mpindze posądzono nas o ukrywanie ludzi na misji itd., ale jakoś i tę wojnę jak na razie wygraliśmy.

Obecnie czekamy na decyzję podziału naszej parafii. Ma ona zapaść z początkiem sierpnia. Właśnie o. Jan Kanty, o. Kasjan z Bukirasazi i o. Kamil z Rutany zaczęliby życie w Musongati. Br. Marceli od września ma zająć się budową domu dla Sióstr Karmelitanek i domu parafialnego w Musongati. Za ten czas zgromadzimy materiały i zrobimy plany. Oby tylko nie nastąpiła blokada portu w Dar-es-Salaam, jak o tym mówią. Wtedy byłoby gorzej z benzyną itp. Zobaczymy.

Do sierpnia mamy takie małe wakacje, tzn. na stacje misyjne wyjeżdżamy tylko w niedzielę ze Mszami św. i spowiedzią. Właśnie w niedzielę mam zamiar pojechać w dalekie *mosso*, by zobaczyć, co tam przy granicy słyhać. Wciąż się mówi o utarczkach, ale nic

pewnego nie wiadomo. Chcę też zobaczyć, jak idzie budowa jednej stacji na tamtym terenie. W poniedziałek chcę skoczyć do arcybiskupa, żeby Go zawiadomić, że zabiorę Kasjana i że na razie pożegnamy jego diecezję.

To na razie tyle, bo choć przy dzisiejszym święcie św. Eliasza dano mi trochę wolnego w ramach pierwszej zmiany, to przecież trzeba wyjść na chwilę do ludzi.

Łączę wiele serdeczności, pozdrowień i uśmiechów wraz z zapewnieniem stałej pamięci przed Panem tak o Drogim Ojcu jak i o wszystkich Drogich nam Przyjaciołach naszej misji. Proszę ich przy okazji przeprosić za nasze milczenie. Wszystkie dowody ich pamięci całym sercem przyjmujemy, ale brakuje czasu na listy.

Serdeczności dla wszystkich Drogich Ojców z Wrocławia i całej św. Prowincji! Z Bogiem!

Szczerze wdzięczny - br. Teofil k. b.

Buta, 31 lipca 1973 r.

Przewielebny i Drogi Ojcie Prowincjale!

Za list z 21 czerwca, który wczoraj znalazłem w Bururi, bardzo serdecznie dziękuję. Wpadliśmy wczoraj do Bururi, odwożąc na zebranie przedstawicieli naszych stowarzyszeń religijnych. Niespodziewanie wypadło mi zostać na obradach aż do piątku, więc czas między wykładami poświęcam na takie luźne prace, jak np. listy. W domu bardzo mało czasu na pisanie. Pracy wiele.

Od dzisiaj jesteśmy już sami, choć praktycznie już od miesiąca pracowaliśmy sami, bo Ojciec Biały, który został z nami, chorował.

Jak na początek pracy jest wiele. Mieliśmy około 300 Komunii św. uroczystych, ponad 80 chrztów dorosłych, egzaminy wszystkich katechumenów itp. To wszystko należy wprowadzić w księgi – a nie mamy sekretarza. Boi się przyjść do pracy. Jakoś jednak biurową pracę zakończyliśmy. Równocześnie przebudowa i budowa. Z dwu salek robimy trzy cele, potem jeszcze dwie. Zawiesiliśmy na nowo dzwon na naszej dzwonnicy z drzew rosnących obok siebie. Teraz budujemy zbiornik na wodę. Mam nadzieję, że zmieścimy się w kwocie 150 000 franków. Budujemy też mały kościół na jednej stacji, poprawiamy i tynkujemy inny. Z dawnego internatu robimy sale dla dzieci, które nie chodzą do szkoły – tylko w ramach nauki religii uczą się trochę czytać i pisać. Robimy też sale dla stowarzyszeń. To dużo jak na raz, ale chcemy jako tako uporządkować Mpingę przed zabraniem się do budowy nowej misji – jednak nie w sąsiednim kraju – jak to proponuje o. Leonard. Nie rozmawiałem jeszcze ze wszystkimi, ale już wiele razy była mowa na ten temat. Sądzi się, że to jednak nierealne. W obecnej sytuacji musiałaby to być zupełnie osobna misja, bo przez granicę teraz nie ma możliwości kontaktu. Nawet wspólna dla obu krajów Konferencja Episkopatu nie może się zebrać. A nie sądzę, by naszą Prowincję stać było na taką fundację, skoro my nie możemy się doczekać pomocy – myślę o pomocy personalnej. Przed rokiem mówiło się, że „nie wkłada się jajek do jednego kosza”. Rzeczywiście, w dwu mogą być bezpieczniejsze – ale czy

pewne? Przecież i dwa kosze mogą upaść – zwłaszcza w Afryce. Sytuacja nie jest jasna, ale wydaje się, że coś można zrobić dla podtrzymania tutejszego Kościoła. Potrzeby są wielkie!

Z Bukirasazi dzisiaj przynosi się Kasjan i może nawet Kanty. W ostatni poniedziałek rozmawiałem z arcybiskupem. Na odjazd Kasjana zgodził się, ale nie chciał słyszeć o opuszczeniu Bukirasazi. Myślę jednak, że zrozumiał, iż na razie nie możemy brać tak wielkich parafii, bo jak słyszę, szuka zastępców na nasze miejsce.

W najbliższy poniedziałek mam być na zebraniu księży w nowej diecezji, zobaczymy więc, co postanowią odnośnie do podziału naszej parafii. Sądzę, że będą bardzo za tym.

W takim razie po 15 sierpnia Marceli i któryś z ojców zaczną gromadzenie materiałów i funduszy – najpierw pod dom siostr – potem dalej... W październiku br. Marceli pójdzie na kurs kirundi. Myślę, że jakoś sobie bez niego poradzimy. Trochę gorzej z wyciągnięciem o. Kamila. Wczoraj bp Martin prosił na wszystkie świętości, by został w Rutanie, bo nie ma go kim zastąpić. Zobaczymy – może jakoś uda się go wyrwać. Dalej nie załatwiona sprawa naszego *representation legale*, ale może po zebraniu księży w Ruyigi jakoś to ruszy. Wtedy dopiero będzie można załatwić umowę z diecezją. Zapewne się dziwicie, że to tak długo. Nas tu pocieszają, że to wcale nie tak długo. Inni już czekają dłużej, bo to przecież Afryka. Zresztą może jednak kiedyś N. Ojciec będzie mógł do nas wpaść, np. przywożąc następną grupę – to wtedy będzie mógł zobaczyć, jak tu u nas jest.

Przepraszam, że ten list taki nijaki, taki tylko o nas. Na wieści z Prowincji bardzo czekamy. Niemal każdy tylko szczątki wieści przysyła, tłumacząc: „to Wam zapewne już inni pisali”. A tymczasem nawet z kilku listów nie można nic poskładać.

Łączę wiele serdeczności tak dla Ojca Prowincjała jak i wszystkich Ojców i Siostr naszej Prowincji. Na pamięć w modlitwach bardzo liczymy. Sami pamiętamy! Mimo zapracowania. Współbracia chętnie spieszą na wspólne modlitwy, z czego bardzo się cieszę, bo stwarza się przez to dobrą atmosferę w Mpindze. Położyłem na to nacisk od początku, bo gdyby się zły zwyczaj zaprowadziło, to później byłoby trudniej.

Uśmiechów ślę wiele. Po zjeździe w Ruyigi znów napiszę. O błogosławieństwo bardzo proszę.

Szczerze wdzięczny
br. Teofil k. b.

Maganahe, 25 sierpnia 1973 r.

+Drodzy Przyjaciele!

Aż się wierzyć nie chce, że to już tak dawno, że ostatni list „katolicki” pisałem do Was nad brzegiem Tanganiki w Adwencie ubiegłego roku! Nie, nie zapomniałem o Was ani na chwilę. Wiele razy pragnąłem z całego serca porozmawiać z Wami, podziękować przynajmniej w kilku słowach za tyle dowodów pamięci, przywiązania, za ofiary, modlitwy, cierpienia, za dobre słowa Waszych listów...za wszystko! Niestety, nie było sposobu ulżyć potrzebie serca. Wciąż u nas powtarza się to, co działo się nad brzegiem palestyńskich jezior,

a co Ewangelista zamknął w prostych słowach: „Nie mieli czasu nawet na spożycie chleba”.

Dzisiaj pragnę w kilku zdaniach skreślić historię tego niemal już całego roku.

Po Bożym Narodzeniu ekipa polskich Karmelitów Bosych pracująca w Burundi mogła się spotkać w Mpindze tylko na trzy dni, by wspólnie kolędować Małemu. Radość ze spotkania była wielka. Zaraz jednak trzeba było wracać do parafii, w każdej bowiem z nich pracy czekało wiele. Należało przeprowadzić egzaminy katechumenów na wszystkich stacjach misyjnych oraz egzaminy dzieci przed uroczystą Komunią św. W Bururi zajęło to pełnych 10 dni. Następnie rekolekcje przygotowawcze do chrztu św. i Komunii św.

W tym czasie nie brakowało troski o chorych, o wdowy, o ludzi żyjących w nędzy i żałobie na skutek zeszłorocznych zająć w naszym kraju. W Bururi umierało wiele dzieci. Bywało i 6 pogrzebów na dzień. Im nie potrzeba wiele, by umrzeć. Wystarczy lada jakie przeziębienie, grypa, malaria... o co wcale nietrudno w porze deszczowej. Dzieci są słabe z powodu niedożywienia lub wprost głodu, a rodzice zupełnie bezradni wobec choroby dziecka, brak przecież opieki lekarskiej, brak lekarstw. Śmierć dziecka przyjmują jako wolę Bożą, nieraz jednak widać, jakim ciosem dla rodziców jest śmierć dziecka, które tu uważa się za prawdziwy skarb, dany rodzinie przez Boga.

W tym też czasie marzyło się nam założenie nowej „Góry Karmel” w Ndawie. Chodziło o podzielenie większej parafii w Bukirasazi, o zbudowanie domu dla Drogich Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które właśnie do nas zdecydowały się przyjechać z pomocą. Marzyło się założenie tamże ośrodka zdrowia dla dzieci oraz zakładu dla trędowatych. Chociaż fundamenty położyć w roku 1973! Przecież to setna rocznica urodzin św. Teresy od Dzieciątka Jezus.

Zapewne w tym roku jubileuszowym nasza Siostra i Patronka Misji przyjdzie z pomocą i pośle ofiarne serca, a zatem coś zrobimy dla naszych pozbawionych opieki lekarskiej dzieci i trędowatych. To takie marzenie o jubileuszowym pomniku. W związku z tym musiałem nieco podróżować, co wcale nie było łatwe w deszczowej porze. Raz nawet z br. Marcelim mieliśmy poślizg na drodze i kamionetka¹⁰ stanęła czterema kołami ku niebu, jakieś 20 m od drogi. Na szczęście wpadliśmy w busz, nie było drzew obok drogi i nie było stromego zbacza. Udało się wydostać z wozu, udało się postawić go z pomocą ludzi i ruszyć dalej. Te wyjazdy i spotkania sprawiły, że nastawiliśmy się na fundację w Ndava. Widocznie inna jeszcze była Wola Boża...

Na razie był Wielki Post, były rekolekcje, rekolekcje i jeszcze raz rekolekcje, było wiele kazań i spowiedzi... Nawet w naszych parafiach nie potrafiliśmy przeprowadzić wszystkich rekolekcji, a trzeba było myśleć o parafiach, które wcale nie mają kapłana i tamtym ludziom dać okazję do wielkanocnej spowiedzi. Taka praca wyczerpuje i sam Pan widocznie dodaje siły.

Pamiętam, że po wszystkich ceremoniach wielkotygodniowych, po chrzcie wielu dorosłych w W. Sobotę, miałem jeszcze dosyć siły, by przygotować kazanie i wyjazd w Wielkanoc do jednej ze stacji misyjnej, gdzie ludzie nie mieli rekolekcji w czasie W. Postu. Pojechałem z jednym księdzem, który z powodu choroby gardła mógł tylko spowiadać... Od godz. 7.00 rano spowiadaliśmy do 13.00. W międzyczasie odprawiłem dwie Msze św.

¹⁰

Camionnette- franc.- furgonetka, półciężarówka

Komunii św. było wiele, i wiele prawdziwej wielkanocnej radości, bo ludzie nie spodziewali się księdza u siebie.

Do wielkopostnej pracy dołączyła się taka nasza „Krzyżowa droga”. Jak mi wiadomo, O. Jan Kanty pisał już na ten temat do kraju. Wspomnę więc tylko w kilku słowach. Nie wszystko jeszcze w naszym kraju uleczone. Jakiś nowy niepokój ogarnia ludzi. Właśnie w Bukirasazi kilka wdów po pomordowanych w zeszłym roku nauczycielach i kupcach obawia się śmierci. Proszą, by im ułatwić ucieczkę za granicę, bo same nie potrafią ujść, mają bowiem drobne dzieci. Po zorientowaniu się w ogólnej sytuacji w kraju, nasi ojcowie Sylwan, Jan Kanty i Kasjan (który niedawno został tu przeniesiony z Rumeza), postanowił pomóc. Właśnie O. Sylwan miał odwozić do Mpinga Br. Sylwestra, wyjechał więc wcześniej rano i podwiózł jakieś 16 osób do granicy. Wrócił natychmiast do domu, ponieważ nauczycielki nie przyszły do szkoły, władze wnet odkryły ucieczkę. Okazało się, że pewna wdowa, która także postanowiła uciekać zostawiła zapakowaną walizkę w domu innej, nie stawiała się jednak rano na umówione miejsce. Dlaczego? Nie wiem. Chyba też ona podsunęła władzom myśl o pomocy udzielonej przez ojców wdowom.

Władze terenowe doniosły sprawę do Gitega – coś w rodzaju naszego województwa – oraz do Arcybiskupa. Kiedy 1 kwietnia zjawiłem się w Bukirasazi, czekał już na mnie arcybiskup Makarakiza, by wspólnie coś uradzić. Jemu powiedzieliśmy całą prawdę. Dla innych zachowaliśmy część prawdy w tajemnicy, głosząc, że O. Sylwan zabrał z drogi osoby proszące o podwiezienie i rzeczywiście podwiózł kobiety z dziećmi w kierunku Mpinga – co było zgodne z prawdą. Żadne prawo nie zakazuje podwieźć proszących o to i żadne nie nakazuje pytać proszącego gdzie i po co chce jechać. Czyżby się zresztą przyznał, że je podwiózł, gdyby wiedział że to coś złego?

Arcybiskup uznał, że nie chodzi tu o żadne przestępstwo moralne, że czuliśmy się obowiązani pomóc, by nie mieć przez całe życie wyrzutów sumienia, że dla spokoju z władzami nie pomogliśmy osobom, którym groziła niewinna śmierć. Mówię „niewinna”, bo cóż winne te kobiety i dzieci, że urodziły się w odmiennym plemieniu. A, że groziła im śmierć rzeczywiście, przekonaliśmy się niebawem. Zamordowano bowiem inne osoby, które pozostały na miejscu.

To wszystko Arcybiskup uznał; zdziwiła mnie więc jego reakcja. Radził bowiem, by dla spokoju z władzami poświęcić O. Sylwana i odesłać go na jakiś czas do kraju. Musiałem mu powiedzieć stanowczo: „Nie, Monseigneur! Nie!”. Moją postawę starałem się cierpliwie tłumaczyć: „Gdyby Biskupi w Polsce przy każdej trudności z władzami tak łatwo ‘poświęcali’ księży, to dzisiaj nie mielibyśmy w kraju ani jednego kapłana. Był przecież okres okupacji hitlerowskiej, były trudne czasy stalinizmu, kiedy to niemal każdy kapłan był w konflikcie z władzami cywilnymi... Obowiązkiem arcybiskupa jest bronić swoich księży, a nie poświęcać ich...” Myślę, że to tłumaczenie mogło go czegoś nauczyć, bo w końcu zgodził się, że wobec władz należy przyznać się do tego, że O. Sylwan zabrał z drogi i podwiózł w kierunku Mpingi kilka osób. Później należy czekać na proces. Co może wykazać proces? Świadkowie, jak nam wiadomo, uszli szczęśliwie za granicę. Na proces nie trzeba było długo czekać. Za dwa dni O. Sylwan był przez kilka godzin badany w Gitega. W końcu polecono mu pozostać na arcybiskupstwie do dalszych rozporządzeń. Zaczęło się zatem „więzienie” w celi nr 8. Nie było źle naszemu więźniowi. Odwiedzany często przez nas, mógł także pracować w katedrze, a pracy w okresie Wielkanocy nie brakowało. Przykre było jednak czekanie na decyzję władz,

tym bardziej przykre, że przedłużyło się do pięciu tygodni. W tym czasie staraliśmy się sprawę „dobrze” przedstawić wpływowym osobom i przygotować do obrony. Ostatecznie, gdy O. Sylwan został wezwany do stolicy, tamtejsze władze uznały, że nie było przestępstwa, że zatem „winny” może wracać do domu. Wiedzieliśmy, że „Władca” z Gitega nie wiele sobie robi z zarządzeń stolicy, więc 14 maja zabrałem O. Sylwana do Mpinga. Dobrze się stało, bo wnet sam „władca Gitegi” szukał naszego bohatera. Na innym terenie nie można mu nic zrobić. Będzie zatem musiał oddać paszport, który został w jego ręku.

Jak wspominałem, 14 maja przybyłem wraz z O. Sylwanem do Mpinga. Zastaliśmy tu O. Eliasza, O. Klaudiusza i Br. Sylwestra. Zostaje z nami jeszcze jeden z Ojców Białych, by nam przekazać parafię.

Na razie O. Jan Kanty i O. Kasjan zostają w Bukirasazi. O. Kamil musi na razie zostać w Rutana, bo Bp Martin nie ma kim zastąpić naszego misjonarza. Br. Marceli prowadzi do wakacji warsztaty w Bururi. W lipcu ma kierować pokryciem dachu na wielkim kościele w Rumeza i potem ma być wolny.

Pierwsze dni naszego życia wspólnego w Mpinga napełniły nasze serca wielką radością, ale wnet radość ta została pomieszana trudnościami. W niedzielę 20 maja po południu przed nasz kościół zajechało auto z żołnierzami. Zabrali kilka osób, wśród nich jednego z naszych katechistów. Oczywiście płacz wdowy z dwojgiem dzieci, płacz innych, bo wiadomo, co takie zabranie oznacza. Serca napełniają się żałobą, strachem. Zaczęło się na nowo mordowanie ludzi z plemienia „krótkich,” jako odwet za jakieś zajście na granicy. Tym razem dotknęło to mocno właśnie naszą parafię. Zginęło wiele ludzi, wiele ukrywało się wśród kamieni i traw. Ukrył się także nasz sekretarz parafii. Po jakimś czasie dowiedzieliśmy się, że wrócił do domu. Do dzisiaj jednak nie ośmielił się wrócić do pracy.

Zaraz w poniedziałek 21 maja pojechałem wraz z O. Sylwanem do Bururi i Rutany, by bronić, by ratować naszych ludzi. Niestety, nic się już nie dało zrobić. Już nie żyli. Tych, którzy mieli zginąć nie znaleźliśmy. Dzień w dzień nowe wieści o morderstwach, łązy, strach ludzi i nasza bezsilność.

Na dodatek zaczęła się zimna wojna z naszymi terenowymi władzami. Zaprowadziliśmy trochę nowego porządku na misji, między innymi zamknęliśmy bramę wjazdową, a interesantów, zamiast na naszym dziedzińcu, załatwialiśmy przy furcie i w biurze. Władze ubzdurały sobie, że kogoś ukrywamy na misji i dlatego nie wpuszczamy obcych. Staraliśmy się zachować „normalnie” – tzn. wyjeżdżaliśmy na stacje misyjne, by lepiej się rozejrzeć w terenie, by pomóc cierpiącym, by spowiadać.

W niedzielę 27 maja, usłyszeliśmy przemówienie naszego prezydenta, który zapewniał naród, że wojsko jest w pogotowiu, że należy zachować całkowity spokój. Tak przypadkowo przekrecono gałkę radioodbiornika i natrafiono na zakończenie odezwy do plemienia „krótkich”, odezwy z sąsiedniego kraju. Wyglądało to na formalne wypowiedzenie wojny „długim”. Tak by to odczytano w Europie, ale u nas w Afryce, jak się później okazało, to tylko wielkie słowa. W ten jeden wieczór poczuliśmy się nijako. Nikt nie chce na nowo przeżywać takiej wojny, nikt nie chce widzieć na nowo przelewu krwi niewinnej, płaczu, żałoby, zniszczenia... nikt nie chce spotkać się z mordercami.

Tu chyba miejsce na odpowiedź na pytanie, które już wielu z Was mi postawiło: „Za kim właściwie jesteś, za „długimi,” czy za „krótkimi”? Kochani, nie jestem ani za jednymi ani za drugimi, albo jeżeli kto woli, to jestem za jednymi i za drugimi. To prawda, że jednych i

drugich widzę ściganymi, mordowanymi, nie wiedzą dnia ani godziny, nie widzą przyszłości dla siebie i dzieci. Drudzy omotani strachem, że liczniejsze plemię ich kiedyś wyniszczy, korzystają z okazji, że są przy władzy i mordują... Prości zaś ludzie, choć nie podzielają opinii swoich władz, to przecież nie ośmielają się wyrazić swojego zdania... Ogólna atmosfera terroru, strachu, krew na rękach rządzących i zatracone człowieczeństwo. Żal mi jednych i drugich, bo właśnie jestem za człowieczeństwem, za człowiekiem, bo czuję się tu posłany właśnie po to, by głosić Dobrą Nowinę o wielkości człowieka, wyniesionego przez Miłość do godności Dziecka Bożego, Dobrą Nowinę o braterstwie w Ojcu, który jest w Niebie... Jakże podeptane to braterstwo, jak sponiewierana godność!

Tym większa więc nasza odpowiedzialność, tym wznioślejsze zadanie, ale też tym trudniej zachować „twarz”, tym trudniej głosić pełną Ewangelię. Staramy się to robić, choć słowo miłość, braterstwo... bardzo drażni morderców, którzy mimo wszystko przychodzą do kościoła. Czasem odnosimy wrażenie, że przychodzą tylko, aby posłuchać, co też misjonarze mówią. Głosimy więc miłość, staramy się budzić nadzieję na lepsze jutro.

Staramy się sami nie zatracić człowieczeństwa. Tak łatwo bowiem uogólniać, tak łatwo we wszystkich „długich” widzieć morderców, tak łatwo w „krótkich” widzieć samych męczenników, aniołów. W rzeczywistości jednak tak wśród jednych jak i drugich są ludzie dobrzy, nawet bardzo dobrzy, wśród jednych i drugich są ludzie źli...

Tak więc koniec maja upłynął pod znakiem nowego niepokoju i trosk. Równocześnie było wiele pracy, co nas ratowało od nadmiernego przemyśliwania. Znowu były egzaminy katechumenów oraz dzieci przed Uroczystą Komunią św.

Z początkiem czerwca odwiedził nasza parafię Bp Józef Martin z Bururi oraz Bp Joachim Ruhuna, pierwszy biskup nowo utworzonej diecezji Ruyigi, do której przechodzi nasza parafia. Bp Martin żegnał się z parafią i przekazywał ją nowemu pasterzowi. Na przekór władzom terenowym nie urządziliśmy żadnego święta z tej okazji. Władze chciały urządzić wielkie uroczystości. Powiedzieliśmy: parafia i kraj w żałobie po dopiero co pomordowanych, nie czas więc na radość. Biskupi dobrze zrozumieli sytuację, ale za strony władz było dużo boczenia się.

Do końca czerwca wszystko jako tako się uspokoiło, więc zabraliśmy się do pracy. Była uroczysta Komunia św. przeszło 300 dzieci, chrzest ponad 80 katechumenów i bierzmowanie. Nie mamy sekretarza parafii, więc cała praca biurowa spadła na nas. A jest jej wiele, zwłaszcza pod koniec roku szkolnego. Strzeżono każdy nasz krok, każde posunięcie.

W tym samym czasie zabraliśmy się do uporządkowania naszej misji. Chcąc uzyskać trzy pokoje i kilka sal dla katechizacji i zebrań naszych stowarzyszeń religijnych, zaczęliśmy przebudowę domu i dawnego kościółka. Postanowiliśmy także na nowo zawiesić dzwon na naszej naturalnej dzwonnicy, czyli na dwu wysokich drzewach obok siebie stojących. Szła też budowa kaplicy w jednej ze stacji misyjnych oraz poprawa kaplic na innej.

Przez czerwiec i lipiec pracowaliśmy na cztery zmiany. Nasz dzień wyglądał mniej więcej tak: godz. 6.00 modlitwa i brewiarz, godz. 7.00 Msza św., godz. 7.45 – śniadanie, po którym br. Sylwester i o. Klaudiusz wychodzili do robotników, zaś o. Sylwan, o. Eliaz i ja pracowaliśmy w biurze i kościele: spowiedź, zapisy małżeństw, chrztów i inne sprawy parafialne. Około godz. 10.00 i my stawaliśmy z zakasnymi rękawami do pracy, wtedy bowiem praca idzie o wiele sprawniej. O godz. 12.00 odmawiamy część brewiarza i spożywamy obiad. Dalej praca z robotnikami do godz. 16.30. Wtedy robotnicy odchodzą do

domu, a my zaczynamy trzecią zmianę, czyli prace wykonywane w ekipie polskiej, prace bardziej precyzyjne, jak zawieszanie dzwonu, jak montowanie półki na książki do naszej sali. Przy takich pracach trzeba sprawnego działania, więc woleliśmy je wykonywać sami, łatwiej bowiem porozumieć się w ojczystym języku. O godz. 18.00 zapada u nas zmrok, więc godzina modlitwy, brewiarz i kolacja, po której następowała czwarta zmiana, czyli różne drobne prace wykonywane w sali pod lampą. Przez jakiś czas była to przede wszystkim praca biurowa, takie różne przepisywania, które nie wymagają większego wysiłku i przy których można swobodnie pogawędzić, wypoczywając w ten sposób po trudach dnia. Było też trochę urozmaicenia. Ojciec Biały pozostający z nami zachorował ciężko, odwieźliśmy go zatem do Gitegi i później dalej do stolicy, do lekarza. Wrócił do zdrowia, ale już nie wrócił do Mpingi, bo już czekała na niego praca w Rutovu.

Na uroczystość Matki Bożej Szkaplerznej spotkaliśmy się wszyscy Karmelici Bosi z Burundi, by wspólnie koncelebrować uroczystą sumę.

Pod koniec lipca spotkałem się z arcybiskupem Makarakizą, by go powiadomić, że skoro jesteśmy „spaleni” wobec władz na terenie Bukirasazi, musimy zrezygnować z naszych planów odnośnie Ndawy, że zatem chcę zabrać ojców z jego diecezji. Zgodził się na wyjazd o. Kasjana, ale nawet słyszeć nie chciał o wyjeździe o. Jana Kantego. Rozumiem arcybiskupa, bo przecież tak bardzo mu brakuje kapłanów, a tu jeszcze karmelici chcą odejść. Objęcie dwu takich wielkich parafii jak Bukirasazi i Mpinga, to za wiele jak na nasze możliwości. Bukirasazi liczy ponad 40 tys. chrześcijan. Wprawdzie parafia bardziej skupiona niż Mpinga, która liczy ponad 20 tys. wiernych i 37 tys. pogan, ale rozciąga się na dużym terenie. W jedną stronę do stacji misyjnych musimy jechać 50 km i jeszcze kilka wędrować pieszo, w drugą stronę do stacji misyjnych 45 km.

Chcemy zatem podzielić parafie w Mpindze na dwie, by lepiej rozłożyć pracę i ułatwić ludziom żywszy kontakt z parafią. Arcybiskup rozumie, ale...

Nie wiemy jak nasze plany przyjmie nowa diecezja. Trzeba czekać na zebranie Rady Kapłańskiej 6 sierpnia. Biskup postanowił oglądnąć stację w Musongati. Przybył też wikariusz generalny diecezji. Po zbadaniu warunków wyrazili zgodę na nasz plan. Obiecali też, że o. Jan Kanty wróci. O. Kasjan już jest w Mpindze. Z początkiem sierpnia udało się także wydostać z Bururi Br. Marcelego. Najwyższy czas! Na całego bowiem ruszyła budowa zbiornika na wodę przy naszej misji. Wprawdzie istnieje dawniej zbudowany, ale jest za mały. Tamten zbiornik był obliczony na 3 osoby, a nas jest więcej i chcemy się myć, więc przez okres suszy trwającej 5-6 miesięcy, wody nie starczy. Br. Marcelli zabrał się do pracy, także na kilka zmian. W ciągu dnia pracuje z robotnikami, wieczorem zakłada instalację wodną w trzech naszych nowych pokojach.

Trochę martwi nas sytuacja o. Kamila, bo bp Martin prosi nas na wszystkie świętości, by go zostawić w Rutanie, aż do powrotu z urlopu jednego z Ojców Białych. Nie ma go kim zastąpić. Jeżeli się coś nie wymyśli, to O. Kamil będzie musiał zostać aż do stycznia w Rutana, a tak bardzo by się przydał na fundacji w Musongati!

Tymczasem wyjeżdżamy na stacje misyjne, myślimy o pokryciu dachem kaplicy w Shembe. Budowana z cegły suszonej mogłaby się rozpuścić, gdybyśmy nie zdążyli pokryć przed porą deszczową. Równocześnie zbieranie materiału na zbiorniki: cegła, cement, żelazo itp. Robimy także pierwsze pomiary w Musongati, by przygotować plan nowej fundacji. Jak widzicie, Kochani, życie u nas ruchliwe i zapracowane. To prawda, że czasem trzeba

posiedzieć nad kazaniem, bo wciąż jeszcze trzeba zaglądać do słownika. W tym roku musieliśmy zapomnieć o wakacjach, ale Bogu dzięki czujemy się zdrowo.

Wybaczenie Kochani, że aż tyle napisałem. Tak się złożyło, że znalazłem się na naszej misyjnej stacji w Maganahe. Trzeba do niej schodzić jakie dwie godziny po stromym zboczu. Nie ma tu za dużo ludzi, więc całe duszpasterstwo: Msza św., kazanie, spowiedź, chrzest dzieci, katechizacja i rozwiązywanie różnych problemów odbywa się w ciągu dnia. wieczorem modlitwa i właśnie trochę czasu na rozmowę z Wami. Wprawdzie gwiazdy i wieczorny chłód (w ciągu dnia jest w dolinie gorąco) wyciągają na przechadzkę. Muszę jednak zrezygnować, nie z obawy przed węzami, które tu dochodzą do pięciometrowej długości, ale dlatego, że nogi po wczorajszym chodzeniu jeszcze nie wypoczęły, a trzeba je zaoszczędzić, bo w niedzielę po sumie będzie się trzeba wspinać ku Mpindze wśród nagranych słońcem skał. Trochę niesamowicie wygląda teraz zbocze górskie. Wszystkie trawy spalone, czarne skały w szarym lub czarnym popiele. Tu i tam pokręcone drzewa bez liści. Wszystko czeka na deszcz. Tylko w dolinie nad rzeką trochę zieleni. Tam właśnie można spotkać wspaniałe węże.

Mpinga, 22 września 1973 r.

Wybaczenie, Drodzy Przyjaciele, nie udało się mi i to tak długo wysłać listu napisanego w Maganahe. Po powrocie wpadłem w nowy kierat. Wraca O. Jan Kanty. Nowemu biskupowi udało się przekonać arcybiskupa i drogą wymiany uzyskał zgodę na wyjazd naszego misjonarza.

Pierwszego września jedziemy z o. Janem Kantym do Musongati, by z bpem Martin omówić plan budowy i aby jeszcze raz przekonać go, że O. Kamil nie może pozostać w Rutana. Obiecał sprawę załatwić z radą diecezjalną. Równocześnie staramy się przynaglic władze terenowe w Musongati, by przygotowały drogę do przewiezienia cegły wypalanej w dolinie. Chcemy cegłę zwieźć jeszcze przed deszczami. Kończymy budowę zbiornika na wodę w Mpindze. Przykrywamy dachem kaplicę w Shembe. Budujemy trzy mosty na rzece. Dużo pracy parafialnej, bo obecnie okres zawierania ślubów małżeńskich. Błogosławimy 6-10 par na tydzień.

Początek roku szkolnego z nowymi troskami. Rodzice z plemienia „krótkich” nie chcą posyłać dzieci do szkoły. Rozumiemy ich rozpaczliwą decyzję. W rozruchach zginęli przede wszystkim ci, którzy umieli czytać i pisać, którzy znali coś francuskiego. Po co więc kształcić dzieci? Dla nas nowy problem z poszerzeniem katechumenatu, chcemy przecież tym dzieciom zapewnić naukę katechizmu.

Jedenastego września dowiadujemy się, że jednak diecezja w Bururi odda nam O. Kamila. Wprawdzie dopiero po 23 września, ale zwycięstwo!

Jeżeli uprosicie nam wiele łask Bożych, to dzień 13 września 1973 roku stanie się dniem pamiętnym w historii naszej misji w Burundi. W tym dniu o. Jan Kanty z br. Sylwestrem wyjechali na fundację w Musongati. Trzeba przygotować małe domki do tymczasowego zamieszkania na czas budowy. W poniedziałek 17 września pojedzie do Musongati br. Marceli, by zacząć budowę. Może to trochę pójdzie kulawo, bo na skutek zamknięcia portu łączącego nas z Tanzanią zaczyna brakować w kraju materiałów budowlanych. Stąd szukanie na wszystkie strony. Miejmy nadzieję, że coś się uda zdobyć.

Trzeba się z budową spieszyć, bo czeka wiele: budowa domu i biur dla księży, budowa domu dla Sióstr, potem budowa przychodni zdrowia, potem pewnie szkoły i wreszcie kościoła, który na razie musi zastąpić dotychczasowa kaplica. Nie obejdzie się bez budowy zbiorników na wodę itp.

Wobec fundacji nowej misji nasze plany zbudowania jeszcze w tym roku choćby małego ośrodka zdrowia dziecka i schroniska dla trędowatych muszą być odłożone na później. To były takie plany na jubileuszowy rok urodzin św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Św. Teresa nie zawiodła naszych nadziei. Już wynalazła osoby dobrej woli, które złożyły ofiarę. Może na fundamenty starczy. Do końca roku może i na ściany się uzbiera. Bóg zapłać za to, co już jest. Pracę wykonamy sami. Wprawdzie to nie takie proste przy pracy duszpasterskiej, ale musimy!

Los dzieci, los trędowatych nie daje nam spokoju. Wiosną, w czasie moich podróży po kraju, odwiedziłem istniejące schroniska dla trędowatych w innych rejonach kraju. „Schronisko” – to brzmiało wspaniale. W rzeczywistości, to kilka maleńkich chat z trawy, gałęzi i błota, w których żyje gromada przeżartych już trędem staruszków i gromada młodych jeszcze matek z dziećmi, które czeka ten sam los. Z jakąż wdzięcznością przyjmują odwiedziny, odwiedziny człowieka, który raczył zaglądnąć do ich zagrody, zagrody nędzy i choroby. Byłem z kilku siostrami zakonnymi. Witając się z tymi ludźmi, zdecydowaliśmy się uściśnąć, ucałować, wziąć na ręce dzieci. To było dla nich wielkie wydarzenie. Wielu korzystało ze spowiedzi. Mój Boże! tak niewiele potrzeba, by ulżyć tym ludziom. A tymczasem, co dla nich robimy? Nie chodzi mi w tej chwili o skalę światową, choć boli świadomość, że cena dwu lub trzech samolotów bombowych na rok, mogłaby uratować trędowatych świata całego, a nie można tej ceny uzyskać..., ale chodzi mi o własną postawę.

Co zrobiłem, co robię, by ulżyć im w straszliwym losie? Jak to możliwe, że tyle lat mogłem żyć tak, jakby tych ludzi nie było na świecie? A przecież tyle się o nich słyszało, tyle czytało...

Okazuje się, że – tak w sprawach Bożych jak i ludzkich – nie wystarczy słyszeć, że trzeba koniecznie widzieć, dotknąć... Wiem, kiedy się widzi, kiedy się dotyka, to chwije się świat. Tak mnie się wtedy zachwiał...

Bo jakaż miara cierpienia znoszonego z poddaniem się Woli Bożej..., a z drugiej strony, jakaż miara obojętności naszej? Jakaż miara myślenia o sobie, o swoich wygodach... i jaka będzie kiedyś miara, gdy usłyszemy: Byłem chory... zżerany trędem... Kiedy Cię widzieliśmy Panie? No właśnie, kiedy? Trzeba bowiem zobaczyć, nie wystarczy usłyszeć tylko!

Tak bardzo bym pragnął, Kochani, byście zobaczyli to poprzez moje widzenie. Może wtedy razem coś będziemy mogli zrobić dla nich. Nie na światową pewnie miarę, ale na miarę naszej miłości w Chrystusie Jezusie.

Na razie w naszej parafii zdołaliśmy osiągnąć tyle, że raz w miesiącu jedna z sióstr dojeżdża do kilku naszych stacji, by opatrywać i rozdawać lekarstwa. To tak niewiele, ale już coś...

Może mój list dojdzie do Was na dzień misyjny. Nie zapomnijcie pomodlić się za nas gorąco, byśmy wnet mogli zrobić coś więcej dla tych naszych najbiedniejszych braci. Módlcie się także, by nie zabrakło nam siły i zapału, by nie zabrakło miłości...

Z okazji Dnia Misyjnego pragnę Wam całym sercem podziękować za dotychczasowe trwanie z nami, za wszystkie znaki miłości, za ofiarne modlitwy, Msze św., za złożone na patenie cierpienia. Tak, pamiętam stale o Kochanych Chorych z całego kraju, ze Śremu, Krakowa, Poznania, z każdego niemal zakątka Polski i z wielu zakątków świata.

Pamiętam z wdzięcznością o młodzieży i dzieciach z różnych parafii, które zapewniają o współpracy przez modlitwę i ofiarę – tą duchową i tą materialną. Ta wasza współpraca bardzo dodaje siły. To wielka pomoc dla misjonarza, gdy w swoim trudzie pamięta, że wielu chłopców odmawia sobie przyjemności kopania piłki, że wiele dzieci odmawia sobie słodyczy i lodów, że wiele dzieci gorliwie siedzi nad zeszytem i książką, by dla naszych dzieci wyprosić potrzebne łaski. To wielka nasza nadzieja. Może niejedyn i niejedna z naszych obecnych współpracowników duchowych otrzyma łaskę, by podjąć kiedyś nasze dzieło ewangelizacji Czarnego Łądu.

To nasze wielkie pragnienie, to temat naszych modlitw, bo tak bardzo brakuje u nas misjonarzy.

Pamiętam stale o wszystkich moich Najbliższych, o Przyjaciółach, których listy już tak długo czekają na odpowiedź. Wybaczcie, że nie odpisuję. Niestety, tak bardzo u nas brakuje czasu. Wasze listy sprawiają mi wielką radość i bardzo na nie czekam. Niektóre wędrują do nas długo, zwłaszcza te, na których mimo dostatecznej opłaty, nie naklejono *par avion*. Wszystkie Wasze problemy poruszane w listach są nam bardzo bliskie, polecamy je Bogu w naszych modlitwach i we Mszy św., którą często w Waszych intencjach odprawiamy.

Muszę kończyć. Wczoraj byłem w Ruyigi na konsekracji naszego biskupa Joachima Ruhuny. Piękna uroczystość na placu obok katedry – trochę w tutejszym stylu.

Wielkie przeżycie dla tutejszego Kościoła, który obchodzi 75-lecie Ewangelizacji naszego kraju i równocześnie zмага się z wielu trudnościami. Jutro niedziela, a więc kazanie i praca. Potem przygotowanie uroczystości św. Teresy od Dzieciątka Jezus, Patronki Misji, następnie przygotowanie odpustu Matki Bożej Różańcowej i wreszcie przygotowanie przyjęcia naszego biskupa, który od 24 do 28 października będzie wizytował naszą parafię. Trzeba też myśleć o wykończeniu planów budowy w Musongati...

Żegnajcie więc w Panu do nowej rozmowy. Kiedy? Zobaczymy. Chciałbym, żeby to nie było znowu za rok.

Z błogosławieństwem i uśmiechem poprzez misjonarską brodę,
szczerze wdzięczny i oddany
O. Teofil

Listy O. Eliasza:

-do Br. Józefa (fragm.):

JMJT

Mpinga 10.03.1973.

Kochany Bracie Józefie!

(...) Już trzeci tydzień brat Sylwester i ja jesteśmy sami na misji. Księża głoszą rekolekcje na stacjach misyjnych. Przyjeżdżają tylko na niedzielę, ale już we wtorek w drogę.

Teraz na mnie kolej. W poniedziałek 12 marca pojedę głosić rekolekcje. Zaczę je w Mutaha, a we środę rozpocznę następane w Kiharo – i tak, aż do niedzieli. W następnym tygodniu mam jechać do Shembe (czyt. Szembe) – częściowo na nogach. Brat Sylwester szyje dla młodzieży stroje narodowe na Święta Wielkanocne. Ma z tym dużo pracy. Zrobił mi ostatnio małe, przenośne tabernakulum. Nie na każdej stacji jest tabernakulum, więc bardzo mi się przyda.

Obecnie mamy porę deszczową, ale ludzie skarżą się, że mało pada deszczu. To wielka klęska, bo w tym okresie sieje się dużo fasoli, sorgo i innych roślin. Wszystko zaczyna rosnać, ale jeżeli deszczu nie będzie, słońce spali rośliny.

Słyszałeś już zapewne, że wkrótce Mpinga należeć będzie do nowej diecezji Ruyigi. Zbudowano tam kościół, który będzie katedrą biskupa. (...)

Ksiądz biskup Józef Martin złożył w Rzymie prośbę o dymisję. Zrzeczenie zostało przyjęte, a oficjalnie zostanie ogłoszone wraz z nominacją nowego biskupa dla diecezji Bururi. Najpierw jednak ogłoszą nowego biskupa dla Ruyigi. Czekamy w napięciu na te wielkie zmiany. Tak więc Ojcowie Karmelici nie będą już pracowali w diecezji Bururi, choć tu postawili swe pierwsze kroki i tu rozpoczęli pracę.

Zaraz po Świętach ma tu dojechać o. Teofil i ktoś jeszcze z naszych, aby objąć parafię w Mpindze. Czekam na tę chwilę. Czas leci mi dwa razy szybciej niż w Krakowie. Nie wiem dlaczego? Słońce jest to samo, tylko księżyc jest przewrócony do góry. W pisaniu listów jestem bardzo niesystematyczny. Zwykle tłumaczę się pracą i nauką, a korespondenci naiwnie w to wierzą. Wieczorami biorę lekturę do poduszki – „Sól ziemi” o. Władysława. Podoba mi się ta książka. A ty, co sądzisz? – Książka o samochodach nie jest ciekawa, ale za to praktyczna, bo ostatnio nasz stary samochód narzeka na „zdrowie”. (...)

Czekamy na pomoc od Was. Nas jest stanowczo za mało, żeby dobrze pracować na dwóch olbrzymich placówkach, a jednocześnie prowadzić minimum życia zakonnego. Spodziewamy się, że bracia przyjadą.

Brat Sylwester prosi o nasiona łubinu. Tu nie ma nawozu, a ziemia jałowa.

Serdecznie pozdrawiam i o pamięć proszę

br. Eliaz

- do Br. Bronisława:

JMJT

Mpinga 9.05.1973

Drogi Bracie Bronisławie!

Serdecznie Ci dziękuję za piłkę, przeźrocza i filmy, a także za wiadomości. Nie odpisywałem Ci zaraz, bo czekałem na ciekawsze wydarzenia, które by Was zainteresowały. Na ogół nic specjalnego się nie dzieje, dzięki Bogu! Zajęci jesteśmy prawie zawsze tą samą pracą: spowiadanie, kazania, wyjazdy na stacje misyjne, zebrania itd.

Czekaliśmy na nowego biskupa dla nowej diecezji Ruyigi. Otóż w sobotę dowiedzieliśmy się, że nowym biskupem został mianowany ks. rektor Wyższego Seminarium w Bujumburze. Znamy go ze spotkania w Muyange, gdzie wygłosił konferencję na temat

powołań i sytuacji księży w Burundi. Na imię ma Joachim (w kirundi Joahimu). Tak więc mamy nowego biskupa i należymy do nowej diecezji. O. Sylwan zrobił mu już zdjęcie zaraz po nominacji, bo był wtedy w Gitedze.

Dziś ma przyjechać do nas o. Klaudiusz z Makamby, gdzie dotąd przebywał. O. Teofil również w tych dniach ma do nas dojechać. Będzie nas zatem pięciu, tj. o. Hauser, br. Sylwester, ja, o. Klaudiusz, o. Teofil, a potem jeszcze o. Sylwan. O. Kamil, który był przewidziany do Bukirasazi, musi zostać w Rutanie jeszcze trzy miesiące, do czasu, gdy proboszcz z Rutany wróci z Bururi. Br. Marceli także zastępuje innego brata w Bururi. Dziękuję za piłkę dla ministrantów. Wybacz, że jeszcze zatrzymałem piłkę u siebie. Najpierw chcę zorganizować „solidną” grupę ministrantów i nauczyć ich, jak mają służyć do Mszy św. Zresztą przekonałem się, że dawanie rzeczy za darmo nie jest wychowawcze w tutejszych warunkach. Murzyni nie doceniają rzeczy, którą otrzymali za darmo. Potrafią ją zniszczyć w krótkim czasie, jak dzieci, a potem znów prosić: „*dutabare padri*” (pomóż nam ojcze). Muszą najpierw zarobić sobie na tę piłkę uczciwą pracą, tj. uczciwym wypełnieniem obowiązków.

W czasie tego pisania słyszę ciągle motor, który porusza młyn. Dziś jest dzień targowy, więc wielu przychodzi do młyna, żeby br. Sylwester zmełł im ziarna kukurydzy, amasaka i uburu (nie wiem, jak się to nazywa po polsku czy po francusku, są to rośliny afrykańskie). W Wielką Sobotę br. Sylwester pracował we młynie do późnych godzin wieczornych, bo żał mu było odmówić usługi biednym ludziom, którzy chcieli coś upiec na Święta, a przyszli z daleka (7 km) na nogach, z workiem zboża na głowie. Teraz br. Sylwester przygotowuje stroje regionalne na uroczystość, która się szykuje: przybycie nowego biskupa i objęcie parafii przez karmelitów. Na przelozonego domu w Mpindze planowany jest O. Sylwan.

Br. Józef pyta mnie jak wymawia się kirundi. Oto kilka wskazówek: w zasadzie wymowa jest prosta, jak się pisze tak samo się czyta, z tym że: sh czytaj jak „sz”, polskie „j” jak polskie „ż”, „w” jak „ł”, np.: jewe (ja) czyt. „żełe”, „c” czyt. jak „cz” np.: ikitabubanje – czyt. „igtabu czanze”, „y” jak „i” lub „j”. Są jeszcze inne minimalne różnice (np. abigishwa czyt. abigishkwa), ale to dopiero dowiecie się na miejscu. Pierwsza rzecz, to francuski względnie opanowany, żeby można się porozumieć i swoje myśli, życzenia prostym językiem wyrazić. Na wygładzenie francuskiego jest dosyć czasu już na miejscu w praktyce.

Jeżeliby się ktoś pytał, jak może nam pomóc, to skierujcie go do o. sekretarza misji lub niech zwróci się do nas o intencje na Msze św., które by księża w Polsce mogli odprawić. Mamy zawsze trochę zbywających intencji mszalnych, które możemy odstąpić Wam w Polsce, a honorarium, które tu zostaje, jest dla nas wielką pomocą.

Czekamy na przyjazd Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus. Liczymy też na naszych braci, którzy nas zasilą. Rozumiemy, że w prowincji są wielkie potrzeby i luki, ale myślcie też o nas w Burudni. Niektórzy radzą nam zakładać nowicjat. Myślimy o tym, ale nie tak prędko. Żeby dobrze poznać ducha i mentalność Burundi, trzeba jeszcze poczekać, a są także inne trudności, jak: przygotowanie i dostosowanie domu, musi być też odpowiedni klimat i regularne życie zakonne, a tego nie da się improwizować. Jeżeli już zakładać nowicjat, to niech to będzie prawdziwy, a nie tylko z nazwy, plus dyspensy z powodu „nadzwyczajnych warunków”. Chodzi tu przecież o przyszłość Zakonu i Misji. Jaki nowicjat, takie potem życie...

Wiele jest zgłoszeń, ale które z nich są powołaniem? Życie zakonne czy kapłańskie jest tu awansem społecznym. Wielu zgłasza się, żeby polepszyć sobie dolę, inni zgłaszają się, bo nie znaleźli gdzie indziej pracy, inni dla awansu. Nie o wszystkich to mówię. Ale istnieje takie niebezpieczeństwo.

Jakie wieści u Was? Egzaminy już blisko i święcenia.

Życzę Ci Bracie dużo łask na dzień Twoich Święceń. Obyś był świętym kapłanem!

Serdecznie pozdrawiam Ciebie, br. Józefa i Współbraci. Szczególne pozdrowienia dla W. O. Magistra.

br. Eliaz

P.S. Dziś wieczorem, tj. 10.V przyjechał O. Klaudiusz.

List O. Jana Kantego:

(list siedemnasty)

Bujumbura 12.06.1973

Najdrożsi!

Dość nagle znalazłem się w stolicy dla załatwienia różnych spraw. Pojutrze ma mnie przyjąć dentysta, by mi zaplombować nadpsutego zęba. Mam więc dziś i jutro trochę czasu, by do was napisać; chcę zaś to uczynić jak najwcześniej, gdyż w lipcu „mój sekretariat” w Sosnowcu nie urzęduje, ponieważ siostry Edmundy nie będzie.

W ostatnim liście doszedłem do momentu, gdy o. Sylwan parę minut po odjeździe arcybiskupa pojechał do Bujumbury. Pojechał zaś w tym celu, by u ludzi nam życzliwych, a znających tutejszą rzeczywistość bardzo dobrze, szukać porady, jak postąpić, jak ustosunkować się do rady arcybiskupa. Tutaj w Bujumburze wszyscy, a szczególnie przełożony Ojców Białych, człowiek naprawdę nadzwyczaj roztropny, mądry, dobry i nad wyraz nam życzliwy, radził, by w żadnym wypadku nie opuszczać kraju dobrowolnie: to niczego by nie ratowało, a byłoby tylko pójściem na rękę reżimowi, który chętnie pozbyłby się misjonarzy, żenujących świadków kainowych zbrodni.

Najmilsi! przeczytałem powyższe zdanie i obawiam się, że możecie mniemać, że przesadzam trochę z tą życzliwością dla nas różnych ludzi i z tymi zbrodniami. Otóż jeśli chodzi o pierwsze, to naprawdę uderzająca jest tu solidarność, wzajemna życzliwość i przyjaźń, jaka łączy misjonarzy pochodzących z najrozmaitszych krajów. Jest to tym bardziej podkreślenia godne, że wszelkie kontakty są z konieczności bardzo ograniczone i sporadyczne. Wydaje mi się, że pod tym względem można się tu dużo nauczyć. Za cały czas mojego tutaj pobytu nie słyszałem ani razu, by któryś z księży wyrażał się lekceważąco o siostrach zakonnych, czy misjonarzach i misjonarkach świeckich. Jeśli chodzi o nas, to wydaje mi się, że bardzo często darzą nas życzliwością nad miarę i na pewno powodem tego jest w dużej mierze wyobrażenie o Polsce jako o kraju, który w ciągu wieków dużo cierpiał.

Gdy zaś mowa o kainowych zbrodniach, to trzeba wiedzieć, że nadal, albo raczej na nowo – morduje się ludzi tego samego narodu, którzy są w najściślejszym tego słowa znaczeniu wyjęci zupełnie spod prawa. Zupełnie bezkarnie rabuje się ich mienie, bez żadnej odpowiedzialności pozbawia się ich życia. Proszę sobie wyobrazić, że kilka dni temu w wyniku konfrontacji, którą spowodowały czynniki kościelne, jeden z najwyższych urzędników państwowych stwierdził, że podległy mu bardzo wysoki urzędnik państwowy od jednego z nauczycieli żądał czterech tys. dolarów, grożąc w przeciwnym razie śmiercią. Na podstawie tego stwierdzenia, w obecności delegata biskupa i stron zainteresowanych zniszczył on papier podpisany przez nauczyciela, w którym tenże stwierdza, że jest winien te pieniądze urzędnikowi. Stwierdzono więc i uznano fakt. I na tym koniec! Żadnych konsekwencji! Urzędnik ten nadal zostaje na swoim stanowisku. Jeżeli pewnego dnia pozbawi życia swego nauczyciela, tak jak pozbawił dziesiątki innych, to też przed nikim w tym państwie nie będzie odpowiadał, gdyż nauczyciel należy do rasy prześladowanej większości. Ja osobiście przykładów takiego bezprawia znam dziesiątki, a wszyscy misjonarze razem wzięci znają ich dziesiątki, a może i setki tysięcy! Dzisiaj już dla nikogo nie jest tajemnicą i ja też to wiem jako rzecz pewną, że odpowiedzialność za jawne zbrodnie ubiegłego roku i za bardziej ukrywane, wznowione obecnie, nie spada w żadnej mierze na „zwykłych śmiertelników” jednej czy drugiej rasy, nie spada ona także (przynajmniej w jakiejś poważnej mierze) na ludzi spoza kraju czy narodu, ale na klikę zdolnych do wszystkiego rodzimych bandziorów, którzy w znacznej mierze posiadli intratne stanowiska państwowe, albo starają się je osiąść. Przykładów ilustrujących mentalność i moralność ludzi mógłbym podać wiele. Nie mam dziś na to ochoty...

O. Sylwan z Bujumbury wrócił jeszcze tego samego dnia (tzn. w sobotę ostatniego marca) wieczorem. Przyjazd jego dodał nam otuchy, przyszłość nasza zarysowała się mniej czarno. Nazajutrz 1 kwietnia w niedzielę (tzw. niedzielę „Letare”) mieliśmy wielu gości z Bukurasazi. Z północy kraju przyjechali w odwiedziny nasi najlepsi przyjaciele „z czasów studenckich” w Muyange: Józse Minarie (salezjanin, Jugosłowianin), S. Bogdana Kaucić (szarytka, też Jugosłowianka) i S. Giordana (czyt. Dziordana) Feroldi (Marystka, Włoszka). Przywieźli ze sobą będącą aktualnie w Muyange szarytkę S. Zofię, Polkę! W styczniu wraz z innymi siostrami szarytkami przybyła ona do Burundi z Hiszpanii i przygotowuje się, by jeszcze w tym roku zacząć pracować w Mabandzie, w tej „mojej Mabandzie,” gdzie „mój czarownik” buduje dla nich dom!!!

Do gości wrócę za chwilę, a teraz chciałbym spełnić obietnicę daną Wam przed kilkunastu miesiącami. Przed udaniem się na kurs języka do Muyanga pisałem, że bez najmniejszego entuzjazmu się tam wybieram. Pisałem też, że właśnie ze względu na ten brak entuzjazmu do sprawy, spodziewałem się, że Pan Bóg jakąś łaską dla mnie w tym szykuje i obiecałem napisać Wam, co to za łaska, jak tylko sam się pomiarkuję. Powinienem był dawno już to skutecznie, lecz dziś dopiero trafia się okazja. Już chyba pisałem, będąc jeszcze w Muyange, że profesor kirundi nie należał do najlepszych pedagogów, którzy mnie kiedykolwiek czegoś nauczyli. Krótco po ukończeniu kursu w ubiegłym roku, gdy to słyszało się powszechne narzekanie na zmarnowanie dużo czasu na kursie w Muyange, zapytał mnie przewodniczący episkopatu wraz z niektórymi innymi przedstawicielami „góry” kościelnej Burundi, co sądzę o odbytym kursie i czy jestem z niego zadowolony. Byli w pierwszej chwili bardzo zaskoczeni, gdy powiedziałem, że cały kurs był na piątkę z plusem z wyjątkiem...prania

bielizny (tutejsi pracownicy robili to tak, że naprawdę oddawali bieliznę brudniejszą po „praniu” niż była poprzednio) oraz z wyjątkiem... nauki języka kirundi! Trzeba by jeszcze dodać, że z wyjątkiem także drugiego wykładanego w Muyange przedmiotu. Pogadanki bowiem na temat zwyczajów tutejszych i historii miał bardzo sympatyczny dziadek – misjonarz, który w Burundi jest piętnaście lat, dużo wie, ale przy mówieniu nie ma zwyczaju otwierać buzi. Rodowici Francuzi musieli się bardzo wysilać by jako tako zrozumieć o czym mowa, inni zajmowali się po prostu pisaniem listów, czytaniem książek itp. w czasie tych występów, a jeszcze inni na te wykłady nie chodzili i w pokoju pracowali na własną rękę. Tak więc genialnych nauczycieli nie mieliśmy w Muyange. Było to tym bardziej rażące, że w Paryżu, zwłaszcza na pierwszym kursie w lipcu wykładowcy byli naprawdę fantastyczni, wprost genialnie umieli nauczyć! Jaki więc pożytek z pobytu w Muyange? Bez wątpienia ten: poznanie się wzajemnie z innymi misjonarzami i zawiązanie prawdziwej przyjaźni. W wyniku nagle tragicznej sytuacji w kraju miało to i ma tym większe znaczenie. Chwaliłem się już kiedyś w liście z Muyange, że obrano mnie tam szefem całej grupy. Ta błaha okoliczność dawała jednak pewne możliwości wpływania na rytm życia grupy i możemy się cieszyć wspólnie z O. Teofilem, że (przy pomocy oczywiście innych!) zdołaliśmy w trudnych dniach przeciwstawić się usiłującej się wkraść atmosferze przygnębienia i pesymizmu. Urządzaliśmy dużo wycieczek (do takich imprez ani O. Teofila ani mnie nigdy nie trzeba namawiać! – myśmy skutecznie namawiali innych), staraliśmy się dużo śpiewać (z polskich piosenek towarzystwo śpiewało „Jak dobrze nam zdobywać góry”, „Szła dziewczeczka”, „Italiano makaroni”, „U boku Twego kroczyć chcę”), a „wygłupianiem się” (mam skrupuły, że to nieodpowiednie słowo, zwłaszcza w odniesieniu do obecnego naszego najwyższego na całe Burundi przełożonego!), a więc tym tak zwanym wygłupianiem się - odpędzić koszmarnie myśli swoje i cudze.

Jedna z siostrz po ukończeniu kursu w Muyange powiedziała swojej przełożonej, że nie „zdzierzyłaby” w tych trudnych dniach, że na pewno uciekłyby z Muyange, albo i Burundi, gdyby nie nasza wówczas tam obecność. Nie jestem na tyle głupi, żeby się z tego pysznić. Nie sądzę też wcale, żeby bardzo dosłownie należało brać wypowiedź tej drogiej siostrzyczki. Ale mogę się chyba cieszyć, że z łaski Bożej, mogliśmy komuś być pomocni zwłaszcza, że jest to misjonarka bardzo, bardzo, bardzo na poziomie!! Nam przyjaźń innych (Wasza też!!) była i jest bardzo cenną podporą (podporą na starość – za parę dni czterdziestka i piętnaście lat święceń kapłańskich, a za dwa lata O. Jan Kanty – Jubilat).

W ową więc niedzielę dwa miesiące temu, gdy z wielką niepewnością patrzyliśmy w przyszłość, prawdziwym błogosławieństwem dla nas był przyjazd najlepszych przyjaciół, tym bardziej, że pod wieczór przyjechał także z Bururi O. Teofil z Br. Marcelim.

Najmilsi! Tu przerywam! Może macie mi za złe, że zamiast zmierzać wprost do końca opisaney historii z ucieczką nauczycielek, bawię się w długie dygresje. Oczywiście mógłbym napisać po prostu „krótko i węzłowato”, że po przesłuchaniu gubernatora w dniu trzecim kwietnia, O. Sylwan został zatrzymany w Gitedze i odesłany na arcybiskupstwo, którego nie wolno mu było opuszczać. Dnia jedenastego maja w Bujumburze uzyskał zwolnienie po umorzeniu całej sprawy i powróciwszy do Bukirasazi po paru dniach udał się do Mpingi, gdzie zgodnie z naszymi dawnymi planami miał się udać zaraz po Wielkanocy. A jego miejsce miał zająć O. Kamil, ale...

Ale zamiast tak krótko pisać opiszę Wan sprawę w następnych listach szczegółowo i z dygresjami. Chyba, że sobie tego nie życzyacie?! Napiszcie co wolicie! – „Nasz klient – nasz pan!”

Teraz wszystkim Wam życzę cudnych wakacji (zapraszamy do Burundi), urlopów i wypoczynków, a przy tym wszystkim dużo łaski Bożej i prawdziwej radości.

Modlić się nie zapominajcie –

za mnie
za wszystkich karmelitów w Burundi
za mych przyjaciół misjonarzy w Burundi
za mych czarnych przyjaciół
za wszystkich z Burundi, a szczególnie
za młodzież i dzieci
nawzajem za siebie też się módlcie!!!

Z Bogiem! Umwubakunda - kochający Was, czyt. ulubakunda; („kochający ciebie” byłoby „uwugakunda”) cane (czyt. „czane”) – bardzo.

A więc: U w u b a k u n d a c a n e
Padri
Yohani wa Kanty

List katechisty z Burundi Juvena'a do br. Emiliana:

Bujumbura 18.07.1973

Drogi Bracie Emilianie!

Z ogromną przyjemnością przesyłam Ci nowe wieści ode mnie, nowe pozdrowienia. Przede wszystkim wybac mi, że nie pisałem długo do Ciebie, powiem Ci z jakiej przyczyny. Od 29 kwietnia 1972 r. trwa u nas walka, jest to rebelia, która atakuje nasz kraj. Dużo ludzi zginęło, także kilku z mojej rodziny, mój dom rodzinny został zburzony i spalony razem z innymi zabudowaniami. Wszystko, co znajdowało się w domu zostało pochłonięte przez ogień, tak, że tylko kilka rzeczy mamusia zdołała zabrać ze sobą i wśród tych rzeczy, co za szczęście, znalazłem twój adres, o którym myślałem, że przepadł i stąd nadarzyła się okazja wznowienia naszej przerwanej korespondencji.

Drogi bracie, co u Ciebie nowego, czy jeszcze pamiętasz o mnie? Chcę Ci opisać moje obecne życie. Już nie jestem katechistą, jestem żołnierzem. Gdy byłem katechistą, mój proboszcz ukrył mnie mówiąc, że ja nie pracuję, to powtórzyło się kilka razy i na całego opuściłem parafię, rzeczywiście przestałem pracować. Od lutego 1972r. zajmowałem się handlem. W kwietniu 1972 r. rozgorzała walka. Kiedy w moim osiedlu trwała walka, ja byłem w mieście – Bujumbura i sprzedawałem towary. Po kilku tygodniach ustała wojna, ale nie zupełnie, miejscami trwał nadal i także docierała do nas. Zabierano nam wszystko, co

najlepsze, do tego stopnia, że zostałem z pustymi rękami. W maju 1972 r. poszedłem zdawać egzamin do szkoły podoficerskiej i zdałem bardzo dobrze; tak dostałem się do wojska. Po dwóch miesiącach jeden z oficerów zaproponował mi kurs specjalny, na co ja wyraziłem zgodę. Kurs ten trwał sześć miesięcy, na końcu zdałem egzamin, który umożliwił mi dalsze kształcenie się. Po dwóch miesiącach, już w tej nowej uczelni, otrzymałem stopień podoficerski. I oto tak wygląda moje życie, drogi Emilianie.

Napisz, co u Ciebie słychać, jakie masz nowości? Sprawisz mi wielką radość. Często patrzę na Twoje zdjęcie i myślę o Tobie, o Twoim kraju, o Twoim życiu.

Pozdrów ode mnie Twoich przyjaciół i rodzinę; przesyłam Ci pozdrowienia z głębi mego serca. Życzę Ci pomyślności w nauce.

Zawsze dobry dla Ciebie – Juvenal.

KARMEL DZIECIĄTKA JEZUS NA SZLAKU MISYJNYM

Dnia 26 sierpnia br. w Kościele Ojców Karmelitów Bosych w Krakowie odbyła się uroczystość pożegnania Sióstr Karmelitanek Dzieciątka Jezus, które wyjadą w pierwszych dniach września na misje do Burundi (Afryka). W Burundi pracować będą przy parafiach prowadzonych przez Ojców Karmelitów Bosych z Polski, którzy wyjechali do Burundi dwa lata temu. W Burundi będą zajmowały się nauczaniem młodzieży, pracą wśród tamtejszej ludności oraz mają zamiar wspólnie z Ojcami wybudować szpital dla trędowatych, których jest dość pokaźna liczba na terenie parafii.

Podczas pożegnania kazanie wygłosił O. Władysław Kluz, Karmelita Bosy. Powiedział:

„... Jakże cieszymy się, jakże dumni jesteśmy, że w ostatnich latach do Afryki, do Azji wyjeżdżają z Polski kapłani, siostry zakonne, aby głosić Ewangelię – Dobrą Nowinę.

Jesteśmy dumni z tego, że my Polscy do Trzeciego Świata posyłamy ludzi nie z czołgami, nie z samolotami, nie z bombami; że jadą do Afryki czy Azji nie po to, by ludzi dzielić w imię ekonomii czy polityki, ale że jadą z Ewangelią – Dobrą Nowiną. Nie w tym celu, aby brać, aby grabić, ale odwrotnie, aby z tymi ludźmi nieszczęśliwymi, głodnymi, chorymi dzielić się przede wszystkim Dobrą Nowiną, dzielić się sercem, dzielić się bochenkiem chleba, który Opatrzność Boża dała nam, dała ojczyźnie naszej.

I to jest ogromną naszą chlubą i dumą...

Nasi misjonarze i misjonarki są częścią naszego Zakonu, częścią Kościoła katolickiego w Polsce, są częścią Narodu Polskiego, są tą siłą, która przedstawia, ambasaduruje w najlepszym tego słowa znaczeniu wszystko to, co mamy najlepszego, najpiękniejszego, najbardziej szlachetnego.

Przyrzekamy Siostram, że będziemy wraz z Nimi naszymi modlitwami, naszą pamięcią, czasem i naszym cierpieniem, składanym Bogu na intencję Sióstr

Misjonarek i Braci Misjonarzy. Na intencję tej wspólnoty karmelitańskiej – polskiej, która w centrum Afryki będzie głosiła Ewangelię”.

Dr Błońska zapytana przez Siostry, co należy zabrać ze sobą do Afryki powiedziała, że najważniejszą rzeczą jest nie język, nie jakieś nawet rzeczy materialne, ale uśmiech na twarzy i dobroć serca. To jest najbardziej potrzebne, aby w Afryce ewangelizować.

Tym bardziej tamte narody, doświadczone koloniami, klęskami, chorobami - tak bardzo potrzebują tego dobrego chrześcijańskiego serca i uśmiechu.

Niech Bóg pobłogosławi Siostram Misjonarkom na tej drodze do Afryki i następnie podczas pobytu w Afryce, aby głosiły Dobrą Nowinę słowem i sercem swoim, i swoim przykładem...

APEL EPISKOPATU BURUNDI

Niewielki, środkowoafrykański kraj Burundi krwawi znowu w walkach plemiennych. Ludność tego kraju dzieli się na dwa plemiona, Hutu i Tutsi, które od stuleci dzieli wrogość. U władzy jest reżim wojskowy płka Micombero, cała władza jest w ręku Tutsi. Od wielu lat nie zamyka się błędne koło ruchów powstańczych Hutu oraz represji ze strony Tutsi. Represje te przybierają charakter ludobójstwa, fizycznej eksterminacji ludności Hutu, a w każdym razie wytopienia jej elit i kadr; mordowani są ci, którzy umieją czytać i pisać, studenci i uczniowie szkół, kobiety i dzieci. Na wiosnę ub. roku masakra Hutu – być może wywołana ich rebelią – pociągnęła za sobą 100 – 150 tysięcy (wg niektórych źródeł nawet 250 tysięcy!) śmiertelnych ofiar. Tysiące Hutu, ratując życie uciekło za granicę do sąsiednich Tanzanii i Rwandy. Rwanda ma podobny skład plemienny co Burundi, ale u władzy w tym kraju znajdują się Hutu. Na tym tle dochodzi do częstych konfliktów granicznych, ba, nawet w roku 1966 oddziały komandosów Burundi wkroczyły do Rwandy i maszerowały na stolicę kraju, by obalić tamtejszy reżim!

W bieżącym roku – w marcu – oddziały wojskowe Burundi (złożone wyłącznie z Tutsi) dokonały ekspedycji karnej na przygraniczne tereny Tanzanii, zabijając 80 Hutu. Z kolei w maju, w trzech punktach granicznych, grupy uchodźców Hutu weszły z Tanzanii na teren Burundi, zabijając ok 100 Tutsi. W odpowiedzi reżim wojskowy Burundi rozpoczął nową akcję „pacyfikacyjną”. Trudno określić liczbę ofiar, ale chodzi co najmniej o dziesiątki tysięcy. W eksterminacji Hutu bierze udział nie tylko wojsko ale i cywilna, uzbrojona ludność Tutsi.

W ostatnich tygodniach zabrał głos Episkopat Burundi. Najpierw Joseph Martin, bp Bururi (jedyne Europejczyk wśród 6 biskupów Burundi) ogłosił 17 czerwca br. list pasterski pt. „Nie zabijaj”, w którym przypominając przykazanie boskie, zwrócił się zwłaszcza przeciw praktyce mordowania ludzi niewinnych, żon, dzieci i krewnych powstańców, emigrantów, czy tych, którzy uciekli oraz – przeciw mordowaniu ludzi w celu zagarnięcia ich własności. W kilka dni później, 21 czerwca br., wszyscy biskupi Burundi ogłosili zbiorowy list pasterski, skierowany już nie tylko do mieszkańców kraju, ale do chrześcijan całego świata. W liście tym biskupi stwierdzają, że powierzchowna, fałszywa analiza socjalno-polityczna utożsamia Hutu z chłopami, zaś Tutsi z inteligencją i kadrami, zaś przyczyn trudności społeczno-

ekonomicznych dopatruje się w nieodpowiednich proporcjach etnicznych. Tymczasem prawdziwą przyczyną trudności kraju jest niedorozwój ekonomiczny, społeczny i kulturalny wynikający z niesprawiedliwych struktur, ekonomii kontrolowanej i eksploatowanej przez kapitał zagraniczny. Podsyćanie walk plemiennych odwraca uwagę od prawdziwych problemów kraju. Istnieje cały program zmiany proporcji etnicznych kraju drogą eksterminacji, program ideowy i operacyjny. Program ten jest realizowany przez podsyćanie nienawiści, podział ludności, którą wzywa się do pogłębienia poczucia odrębności etnicznej i do rozwijania refleksów systematycznej opozycji wobec innej grupy. „W obecnym stadium – mówią biskupi – jesteśmy świadkami regresji cywilizacyjnej, od narodu spadamy z powrotem w wiek plemienny”. Co więcej – twierdzą biskupi – ten proces jest podsyćany przez ośrodki zagraniczne, pragnące go wyzyskać, czy to dla zwycięstwa swych koncepcji ideologicznych, czy zwiększenia swych wpływów, czy też nawet by łatwiej sprzedać broń. Odrzucamy alternatywę: albo Hutu, albo Tutsi. Poza większościami i mniejszościami widzimy tylko osoby ludzkie, których prawa do rozwoju, a zwłaszcza do życia mogą być zanegowane, jeśli będzie utrzymany klimat wzajemnych podejrzeń”.

Wzywając wszystkich mieszkańców Burundi do zaniechania aktów gwałtu i do wzniesienia się ponad spory plemienne, biskupi apelują do wszystkich chrześcijan i wszystkich ludzi dobrej woli – zwłaszcza w krajach sąsiednich – by pomogli ludom Burundi odnaleźć drogi pojednania i jedności narodowej.

Aktualny adres do naszych misjonarzy:

O. Teofil Kapusta
B. P. 67 – Ruyigi
Mpinga
BURUNDI – AFRIQUE